

# P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV \* WARSZAWA \* SOBOTA — CENA 50 GR. — 23 MAJA 1936 R. \* NUMER 21 (138)

TREŚĆ: K. W. ZAWODZINSKI: Dom Kraszewskiego \* JULJAN KRZYŻANOWSKI: Józef Ignacy Kraszewski \* TADEUSZ KOTARBINSKI: Kazimierz Twardowski \* IRENA KRZYWICKA: „Ludzie dobrej woli” \* J. PUCIATA-PAWŁOWSKA: Warszawa w obrazach \* LUDOMIRA MISSIURO: Dwa wiersze \* SZTUKA



I ANTENA: G. K. CHESTERTON i B. RUSSELL: Kto powinien wychowywać nasze dzieci. — KAROL STROMENGER: „Wakacje w Nohant” J. Iwaszkiewicza \* W. SEBYLA: Poezja. — Powieść \* BOHDAN KORZENIEWSKI: Teatr \* ST. FURMANIK: Muzyka \* W. BĄK: Przegląd prasy \* STANISŁAW ROGOŹ: Kronika \* Odpowiedzi Redakcji.

## DOM KRASZEWSKIEGO



Dom Kraszewskiego w r. 1860

Mieszkaniec, a o wiele jeszcze dawniejszy — od czasów chłopięctwa — stały przechodzień ulicy Mokotowskiej, obserwując jej coraz szybszą metamorfozę w arterję wielkomiejską z cichej, biegnącej między małymi domkami, pustymi placami i ogrodami, napoły wiejskiej alei. Na miejscu parterowych chałupek powstają wielkie kamienice, uroczę przedwojenne fac-simile barokowego pałacyku nadbudowuje się, zwyczajem warszawskim, który miasto traktuje nie jako na długie lata ustabilizowaną konstrukcję kamienną, lecz jako rosnące to tu to tam ciało, do którego włożono zbyt wiele drożdży. I choć pozostało parę naprawdę prosiących się o zabudowanie posesyj — w tej liczbie wspaniale, otoczone przez trzy ulice, Piękną, Kruczą, Mokotowską miejsce na jakiś monumentalny gmach publiczny, środkową elewacją wychodzący na istniejący już skwerek (w stoicy, która ministerja i banki wznosi w szeregach kamienic czynszowych a teatry zgoła w podwórkach!) — pewien jestem, że zanim zostaną zabudowane, zobaczą któregoś dnia kurz wzbity przez kilofy rozwalające dom Kraszewskiego.

Czy wypada ukorzyć się fatalistycznie przed koniecznością „unowocześnienia miasta”, czy też warto powstrzymać burzącą rękę i zastanowić się przez chwilę? Wszakże w wielkim mieście i stolicy państwa jest to jedyna budowla w całości i autentycznie związana z osobą któregoś ze znakomitych literatów; w dodatku niebrydki zabytek architektury jego właśnie epoki, tego „stylu Marconi”, tak cenionego przez naszych ojgów, którego okazy (z wyjątkiem, miejmy nadzieję, Tow. Kred. Ziemskiego) znikają dziś szybko, położone w nowoczesnej części śródmieścia, nie chronione przez patynę starożytności, a tem samem ztraca się materialny ślad ważnego ognia w rozwoju budownictwa, ginie reszta oblicza wczorajszej Warszawy, do której tak często nawracamy myślą i w twórczości czołowych dzisiejszych powieściopisarzy. Dom jest spory, w sam raz rezydencja miejska zamożnego ziemianina, jakim był Kraszewski, nabywając go w 1860 r.; w dobrym stanie (do niedawna wynajmowany przez Król. Poselstwo Węgierskie), położony w doskonałym punkcie: nadawalby się w zupełności do zakonserwowania w tej samej niezmiętej od owego roku postaci, jako specjalne muzeum historyczno-kulturalne: „Dom Kraszewskiego”.

Jest okazja, ale czy jest również i p o t r z e b a utworzenia tej instytu-

żać zbiorowym wysiłkiem pozostaje niezapamiętana do dziś dnia acz przez pół wieku od wydania nieco przestarzała *Książka jubileuszowa*. I właśnie narzędziem, warsztatem takiego zbiorowego wysiłku, systematycznie i planowo przeprowadzanego, mogłaby się stać projektowana instytucja.

Podjęcie takiego wysiłku miałooby znaczenie nie tylko dla nauki, dla historii literatury, dla zbadania rozwoju powieści polskiej w szczególności. Jest ono aktualne i ze względów czysto praktycznych, jest nakazem realnego życia, codziennej pracy kulturalnej. Jak tylko jest mowa o popularnych wydawnictwach, o książce dla ludu, zaraz wypływa nazwisko Kraszewskiego, z jego humanitaryzmem i rozumnym stosunkiem do przeszłości, z jego zarażającą a szlachetną uczuciowością. Byłem niedawno obecny przy takiej naradzie. Uczestnicy — fachowi znawcy literatury — podawali tytuły, ten takiej, inny innej powieści. Oczywiście była to tylko mała i przypadkowa częśćka jego dzieła, a nawet i w niej trudno było zorjentować się i ustalić hierarchję wartości, wahaającej się u tego pisarza od bardzo niskiej, aż po skalę sztuki, nieprzeczuwaną w popularnych, niekontrolowanych oddawna o-

pinjach. Od przypadkowych zetknięć się z jego twórczością zależy sąd tego czy innego historyka literatury: żaden jednak nie może w całości i w należytej mierze ukazać ogółu po dziś dzień aktualnego artystycznie i społecznie remanentu działalności pisarskiej Kraszewskiego. Dopiero przy pomocy projektowanej instytucji, wychodząc z miernego stanu dzisiejszej wiedzy o nim, będziemy mogli dojść do zupełnego jego poznania. W jego dziele, którego właściwie nie znamy, tają się prawdopodobnie zapomniane skarby: sądzę po jakimś przypadkowo poznanym wierszu, po takiej powieści jak *Dola i niedola*, ostrem, bezwzględem i nieliczącem się z konwencjami potocznej ówczesnej moralności, spojrzaniem na człowieka i epokę, o wiele przewyższającej poziom powieści „pozytywistycznej”.

Ale aktualne sprawy kultury to nie tylko jej popularyzacja ale i jej genealogja i jej wartości szczytowe. I tu niepodobna pominąć Kraszewskiego. Przypomnijmy sobie przed chwilą zasięg jego aktywności: w każdej dziedzinie udział jego był pierwszorzędnym. Niewielką będzie przesadą postawienie znaku równania między Kraszewskim a kulturą polską całego półwiecza. A w jakiegokolwiek dziedzinie i choćby przelotnie zetknijemy się z Kraszewskim, zwłaszcza tam, gdzie wypowiada się on bezpośrednio i jednoznacznie, więc w krytyce czy publicystyce — wszędzie uderza nas, przy całej wielości jego metamorfoz światopoglądowych, jakaś wyjątkowa współczesność, bliskość naszemu stanowi, zrozumiałość. A po wtóre — europejskość. Wypowiadano w literaturze polskiej za czasów Kraszewskiego poglądy głębsze, oryginalniejsze, bardziej zabiegające w przyszłość; z nikim jednak współczesny Europejczyk nie obcowalby, jak myślę, bardziej poufale niż z nim. Kwalifikuje to kulturę, której był współtwórcą, a którą my kontynuujemy.

Tylokrotnie już w ciągu tych uwag podkreślana rola Kraszewskiego we wszystkich dziedzinach kultury polskiej, określa z góry charakter muzeum jemu poświęconego. Nie będzie to bynajmniej „Świątynia pamiątek” z przysłowiową „fajką Batorego” na pierwszym miejscu. Oczywiście pamiątki osobiste po pisarzu będą na honorowym miejscu; ale z nich raczej nie fotel jego, znajdujący się u jego potomków w naszym mieście, lecz tamże przechowywany serwis przez niego malowany i opatrzony rymowanymi napisami, świetnie naśladującymi rubasność analogicznych inskrypcyj na sztuccach staropól-



Dom Kraszewskiego w r. 1936

cji? Najmniej może ważnym argumentem za nią będzie uczuciowy motyw obowiązku uczczenia „tytana pracy”. A przecież i to jest nie bez znaczenia. Ten banalny epitet stwierdza o Kraszewskim niewątpliwą prawdę, że był jedną z organizacyj duchowych wyjątkowych, ponad ludzką miarę, więc „genjalnych”, w dziejach kultury polskiej. Jak należy oceniać pojedyncze plody działalności tego męża, ich hierarchję w porządku ważności i ich sumę — nie tu miejsce na odpowiedź. Przekraczałoby to zresztą moją kompetencję, jak i — ośmielam się twierdzić — czyjkolwiek w Polsce. Działalność pisarza, którego dzieła nie wiem czy kto w ciągu życia równego długości żywotowi Kraszewskiego zdolałby przepisać, poety i historyka-erudyty, krytyka i publicysty, społecznika i polityka, korespondenta wszystkich wybitnych Polaków swego czasu a w „X” wolnych chwilach, dla własnej przyjemności, malarza i kompozytora — działalność ta jest nie do ogarnięcia indywidualnym wysiłkiem, to też nikt od czasów innego „tytana pracy” (*si parva licet comparari magnis*) Piotra Chmielowskiego, nie próbował tego nawet, jedynym



Wnętrze domu Kraszewskiego (1936)

K 1669/86/23

Dzielnica  
7MOE  
ZobMo

skich. Przedewszystkiem jednak owoce jego trudu; o ile możności kompletny zbiór jego dzieł, wydań książkowych a także czasopism, których był redaktorem lub współpracownikiem; manuskrypty i korespondencja, które, że już w lwiej części wcielone do innych zbiorów, może by się dało uzyskać jako depozyty; obrazy i kompozycje muzyczne choćby tytułem pamiętek. Obok tego literatura o Kraszewskim; obrazy, rysunki, kompozycje muzyczne osnute na tle jego dzieł lub nawiązujące do nich; materiał do biografii osób, zwłaszcza mniej znanych, z któremi Kraszewski był w stosunkach listownych i osobistych, książki które były lekturą pisarza, obrazy (w reprodukcjach), o których mówi; wszystko to umieszczone w pokojach umeblowanych w stylu epoki (wdzięczne zadanie dla takiego znawcy stylu romantycznego, jakiego mamy w osobie W. Husarskiego); nawet istniejącą przy domu wozownie należałoby zaopatrzyć w okazy tych koczów i landar, którymi niestrudzony podróżnik przemierzył Polskę i kawał Europy.<sup>1</sup>

Jeśliby myśl moja miała się urzeczywistnić, Warszawa zyskałaby muzeum, urze-

<sup>1</sup> Kraszewski trzymał konie w czasie swego pobytu w Warszawie; sprzedają ich kłopoty się kilkakrotnie w listach po wyjeździe na wygnanie. Nie jedyny to ślad koniarstwa znakomitego pisarza; podczas swego pobytu na Wołyniu miał cennego araba z krwi koni importowanych świeżo przez J. Dzieduszyckiego; zbyt ostry to był jednak wierzchowiec dla swego uczonego pana, zrzucił go, więc Kraszewski wkrótce sprzedał tego rumaka.

## JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI\*

Działalność pisarska Józefa Ignacego Kraszewskiego, jeden z największych fenomenów w dziejach kultury literackiej w Polsce, była ściśle związana z pracami pokolenia, do którego autor *Starej baśni* należał, a raczej tych kilku pokoleń, z któremi w długim swym życiu się zetknął. Niezwykłość zaś działalności tej polegała na tem, że Kraszewski w pracy swej usiłował zogniskować te wszystkie wysiłki, które inni podejmowali indywidualnie lub zbiorowo, i że niejednokrotnie udawało mu się to znakomicie, do tego stopnia, że dzieje jego kariery literackiej w latach 1830 — 1880 są w znacznej mierze dziejami polskiej kultury humanistycznej, a przedewszystkiem kultury literackiej tego półwiecza. Stąd jubileusz pisarza, uroczyste obchodzony przez całą Polskę w Krakowie w r. 1879, stał się pierwszym wielkim świętem literatury i kultury polskiej, stąd społeczeństwo po raz pierwszy szłało zbiorowo dług zaciągnięty u działacza literackiego, składając zarazem hołd najwybitniejszemu przedstawicielowi kultury romantycznej w okresie, nim jeszcze wielkim pisarstwo zaczęło pomniki. Podczas uroczystości Kraszewski sam scharakteryzował swą działalność, mówiąc:

„Z tą wiarą, iż państwem być przestawszy, jako naród pracę nieustanną, spokojną, utrzymać w sobie życie możemy i powinniśmy, w skromnym zakresie starałem się przekonać moje wpajac i w zgodzie z niem postępować... Piękłem tak przez pół wieku ten razowy chleb dni powszednich. Mogły się w nim znaleźć i oście i otręby — być może — ale zakalec nie było. Tak jest, nie stałem nigdy niezgody, rozbratu, nienawiści, nie rzuciłem nigdy kamieniem, ani na żywych ani na groby. Miłość starałem się wlać w słowa moje, i odczytu ją pewnie, gdy często z niej płynęła gorzyc tych słów wybuchano“.

Działalność ta objęła mnóstwo dziedzin, począwszy od chwili, gdy podczas powstania listopadowego dwudziestoletni niespełna młodzieniec (ur. w Warszawie 18 lipca 1812) zdecydował się poświęcić literaturze a raczej stanął na rozdrożu między literaturą a nauką. Pociągała go przedewszystkiem historia we wszystkich swoich odgałęzieniach, pojmowana tak, jak ją rozumieci wszyscy inni współcześni dyletanci. Stąd Kraszewski kreślił dzieje miasta, w którym odbył studia uniwersyteckie i które miało być do pewnego stopnia ośrodkiem jego działalności przez lat trzydzieści (*Wilno*, czterotomowa monografia 1840—2), wydawał dawne pamiętniki (J. D. Ochockiego i inne), ogłaszał zażytki starej literatury, prowadził studia nad historią sztuki w Polsce, pisał szkice literackie o pisarzach dawniejszych, Klonowiczu czy Krasickim, i nowszych, jak Syrkomla, by prace w tym zakresie uwieńczyć ogromnym dziełem *Polska w czasie trzech rozbiorów* (1872—5), nieocenionym magazynem wszelkiego rodzaju materiałów, ocalonych od zagłady a podanych czytelnikowi w stanie półsurowym. Żywy temperament i odczucie potrzeb chwili, przeszkadzające wyłącznemu skupieniu się nad naukowym badaniem

czywistniące postulaty współczesnego muzealnictwa: nie przedmioty wyrwane z ich otoczenia, rozstawione w obojętnych salach. lecz środowisko zakonserwowane z całym bogactwem życia. Takie „muzea epoki“ powstają wszędzie, najobficiej pewnie w Sowiech, które miały gotowy materiał w formie opuszczonych pałaców i rezydencji wiejskich. Myślę że „Dom Kraszewskiego“ jednolitością reprezentowanego stylu mógłby zakasać nie jedną analogiczną instytucję zagraniczną. Pod ręką umiejętnego kustosa, który powinien być zarazem doradcą, jeżeli nie kierownikiem pracy badawczej nad Kraszewskim, znaczenie instytucji wychodziłoby daleko poza ramy muzeum. „Dom Kraszewskiego“ stałby się instytutem badawczym w zakresie wielkiego pisarza, powieści polskiej i kultury polskiej XIX w.; jako taki byłby naturalnym anneksem, zakładem katedry historii literatury polskiej na uniwersytecie stołecznym. Trudno zresztą teraz przewidzieć jego ramy organizacyjne. Zależą one od tego, kto inicjatywę podejmie; miasto<sup>2</sup>, Biblioteka Narodowa, uniwersytet czy Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów, których Kraszewski jest naturalnym patronem i powinien zostać gospodarzem lokalu ich zebrań.

K. W. ZAWODZIŃSKI

<sup>2</sup> Miasto miałoby największą łatwość w nabyciu tej nieruchomości (której wartość handlowa powinna być oceniana jako wartość placu budowlanego) drogą zamiany na inny plac, odpowiednio większy, jeżeli wydzieli się go spośród terenów należących do miasta na peryferjach stolicy.

przeszłości, skłaniało Kraszewskiego przez lat wiele do najrozmaitszych imprez publicystycznych i do udziału w życiu politycznym epoki; powstało w ten sposób zjawisko niezwykle ciekawe i dla stosunków ówczesnych znamienne: zamożny ziemianin, gospodarujący na wsi, własnej czy dzierżawionej, stał się ruchliwym i niezwykle popularnym dziennikarzem, współpracownikiem pism petersburskich czy warszawskich (zwłaszcza *Tygodnika Petersburskiego* w latach 1836 — 1846), co więcej, sam począł wydawać pismo o ambicjach literackich — *Athenaeum* (1840 — 1866), skupiając znaczną stosunkowo ilość prenumeratorów (222 czytelników w latach największego rozkwitu) i całą grupę młodych współpracowników, którzy w piśmie tem debiutowali. Imponujące to przedsięwzięcie, stanowiąc przez ćwierć wieku ośrodek zainteresowań kulturalno-literackich w obrębie polski kraju, skończyło się wprawdzie bankrutem, nie potrafiło ono jednak zniechęcić Kraszewskiego do podejmowania ponownie imprez tego pokroju. Przeniósłszy się tedy do Warszawy, gdzie objął redakcję *Gazety Codziennej* (przekształconej w *Gazetę Polską*), w ciągu czterech lat przedpowstaniowych (1859 — 63) próbował czynnego udziału w polityce, udziału, zakończonego wyjazdem z kraju, okazało się bowiem, że redaktorowi nie powiodła się orientacja w ówczesnych, wielce skomplikowanych stosunkach wewnętrznych. Osiadłszy od r. 1863 na emigracji, Kraszewski usiłował w dalszym ciągu oddziaływać na opinię w kraju, we wszystkich zaborach, nietylko przez współpracownictwo w pismach krajowych, ale przez pisma własne. *Tydzień Polityczny*, tłoczony we własnej drukarni (1870) i poprzedzające go *Rachunki*, roczne przeglądy życia politycznego, są znakomitą ilustracją tej pasji publicystycznej i chęci kierowania opinią publiczną, dziennikarskiego „rządu dusz“, tak znamienne dla pisarza epoki romantycznej. Tendencje te wypadało nieraz Kraszewskiemu drogo opłacać, czy to zatargiem z margrabią Wielopolskim tuż przed powstaniem, co było właśnie przyczyną emigracji pisarza, czy, w dwadzieścia lat później, lekomyślnym wdaniem się w aferę szpiegowską, którą starzec odpokutować musiał więzieniem pruskim w Magdeburgu.

Z pracami temi, pisarskimi i organizacyjnymi, pozostają w związku przeróżne wytwory literackie, proza i wierszem, dopełniające całokształtu działalności Kraszewskiego we właściwej mu dziedzinie. Należą tu sprawozdania z wędrowek po kraju, zajmujące niekiedy reportaże w stylu romantycznym, nado imprezy poetyczne, podejmowane kolejno, w odległych nieraz odstępach czasu. Złożyły się na nie poezje liryczne i epiczne, oraz próby dramatu i komedji prozą i wierszem. Z poezji drobnych jedynie zgrabna bajka *Dziad i baba* nie straciła swej wartości do dzisiaj, gruntownemu zaś zapoznaniu uległy okazałe tomy eposu o Litwie pierwotnej (*Anafielas*, 1844), encyklopedia motywów kronikarsko-epickich, przez samego autora niezwykle wysoko ceniona a przez niektórych krytyków współczesnych mu poczytywana za arcydzieło literackie. W

zapomnienie poszły również utwory sceniczne, nietylko młodzieńcze dramaty, ale również późniejsze „komedje kontuszowe“ z wyjątkiem tylko *Miodu kasztełańskiego*, tematycznie przypominające *Śluby panieńskie*, bez ich jednak artystycznego wdzięku.

Wszystkie te prace, obejmujące dziesiątki tomów, były dla autora właściwie rezultatem zajęć ubocznych, powstawały na marginesie pracy jego głównej, którą sam określił jako wypiekanie chleba powszedniego dla wielu, pracy powieściopisarskiej. Praca ta o niesłychanej rozpiętości, przerwana dopiero śmiercią Kraszewskiego (19 marca 1887) była nietylko rezultatem uzdolnień autorskich, ale służyła miała realizacji jego misji społecznej, tej samej, co zajęcia naukowe i publicystyczne. Przekonany, że pisarzem są „przywódcami i naczelnikami moralnymi swego wieku“, tak pojęte zadanie literata wcielił w kształt artystyczny w powieściach, idących w setki dzieł, pisanych przez całe dziesięciolecie z wciąż rosnącą intensywnością, a odbijających mnóstwo faz w rozwoju społeczeństwa i sił, które o fazach tych decydowały, następnie najróżnorodniejsze zagadnienia, któremi żyło kilka generacji, dalej najrozmaitsze metamorfozy, przez które przechodził sam pisarz, a wreszcie kolejne mody literackie, które panowały za jego czasów. W sumie stanowią one w kształt plastyczny ujętą historję obyczajową narodu polskiego w w. XIX, ujętą ze stanowiska pisarza, niezwykle wrażliwego na wszelkie przejawy życia, przez człowieka, który życie to umiał znakomicie podpatrywać i chciał niejednokrotnie bieg jego regulować, który jednak był równocześnie wrażliwym artystą i pragnął wypowiedzieć samego siebie. Ponieważ zarówno sam przedmiot obserwowany w ciągu lat się zmieniał, ponieważ nadto zmianom ulegało stanowisko obserwatora, ponieważ wreszcie przeróżne metamorfozy dokonywały się w jego życiu, rozplanowanie jego dorobku powieściowego jest niesłychanie trudne. Obejmuje on oczywiście całe grupy powieści społecznych, odzwierciedlających takie czy inne stadia życia zbiorowego, obok nich jednak są tu cykle utworów, odzwierciedlających zainteresowania osobiste pisarza, na jednych zaś i na drugich odbija się fakt, że pole widzenia Kraszewskiego było ograniczone przez życie, które z innej strony ukazywało się młodemu literatowi wołyńskiemu, inaczej redaktorowi najpoczytniejszej gazety stołecznej, a jeszcze inaczej gabinetowemu uczoneму w Dreźnie. Następnie odbijał się na jego twórczości proces przemian, które zachodziły stopniowo w rozwoju samej powieści między r. 1830 a 1887, tych przemian, które najłatwiej zilustrować zestawieniem dwu faktów: gdy Kraszewski rozpoczynał swą karierę, ostatnią nowością w zakresie romansu historycznego były *Jan z Tęczyna* czy *Pojata*, gdy ją zaś kończył, wypadło mu polemizować z *Ogniem i mieczem*, a to samo działo się w zakresie powieści obyczajowej. A wreszcie twórczość powieściopisarska nie była dla Kraszewskiego, jak dla Niemcewicza czy Goszczyńskiego, tylko zajęciem dodatkowym, ilustracją poczynań praktycznych, choć pozostawała z niemi w bardzo ścisłym związku i odbijała w sobie ich wszelkie falowania, zalamania, niekonsekwencje, tryumfy i rozczarowania, lecz była wyrazem potrzeby wypowiedzenia się wrażliwego artysty, który jednak na wypowiedzenie się pełne nigdy nie miał czasu. Stąd rzeźbiła ją czy przynajmniej kontury jej określała fala życia, stąd z konieczności wystąpić w niej musiały jaskrawe aż do brutalności akcenty zapalczego literata, rozpoczynającego swą karierę w momencie, gdy romantyzm dochodził do głosu, stąd pod koniec musiało odbić się w niej fizyczne wyczerpanie znużonego i steranego życiem starca.

Dorobek pokoleń, na Kraszewskim wychowanych, odsunął w przeszłość jego powieści, wskutek czego ocena jego osiągnięć literackich jest dzisiaj niezwykle trudna. Trudności te potęguje fakt, że Kraszewski w swym rozwoju przechodził przez różne fazy, miał różne postawy i posługiwał się różnymi stylami, jakkolwiek w całym jego dziele twórczym wyszedł można pewne wspólne właściwości, i to tak dodatnie jak ujemne. W jego początkach tedy widać zupełnie wyraźnie tendencje rozwydrzonego romantyzmu, zaakcentowane już samym pseudonimem Kleofasa Fankunda Pasternaka. Skłonność do groteskowej satyry, do łatwych przejawów jaskrawości, minęła wprawdzie rychło, pojawiała się jednak niejednokrotnie w postaci

zmodyfikowanej, tem więcej, że umożliwiony przez niezwykłą łatwość pisania pośpiech nie pozwalał na drobiazgową pracę artystyczną. Dopiero z biegiem lat Kraszewski, pod wpływem zmian, które zaszły w powieściopisarstwie zarówno obcem jak polskim, pod wpływem Korzeniowskiego a później realistów francuskich, więcej wysiłku artystycznego wkładał w swe dzieła, choć oczywiście nie wszystkie, stąd poziom ich był bardzo nierównomierny. Pociągały go tylko pewne zadania twórcze, inne, choćby bardzo istotne, były mu obojętne. Tak więc poza rzadkimi wyjątkami w dziele jego nie występują problemy psychologiczne, traktowane natomiast szeroko są w nim zewnętrzne przejawy życia ludzkiego, fizjognomja i gest, nadewszystko zaś zagadnienia sytuacyjne. Stąd, gdy autor nawet powtarzał się, nigdy w zakresie interesującej fabuły nie posługiwał się temi samymi schematami. Dość porównać *Zygmuntowskie czasy* z późniejszą od nich o lat niemal trzydzieści *Bożą opieką*, by przekonać się, jak ten sam motyw prześladowania bogatego sieroty przez czujących na jego mienie możnych krewnych przekształcił się w rękę pisarza w coś całkiem niemal nowego. Tem też tłumaczy się, że pisarz, który w młodości pozostawał pod urokiem Lesage'a, Woltera, Krasickiego i Skarbka, który później ulegał przelotnie romantycznej fantastyce niemieckiej i rosyjskiej, dzielnom Hoffmanna, Jean Paula i Gogola, z biegiem lat zbliżył się do wielkich realistów angielskich, a równocześnie nie pozostał obojętny na francuski romans brukowy, kryminalny czy detektywny. Innymi słowy tem, co było ulubioną formą powieściową Kraszewskiego, był romans przygód, obojętna historyczny czy współczesny. Tem właśnie brał Kraszewski czytelnika polskiego i obcego, jak świadczą przedruki dzieł jego w kraju i bardzo liczne stosunkowo przekłady na języki obce, zarówno zachodnio-europejskie jak na wszystkie niemal słowiańskie. Tem też trzymają się do dzisiaj powieści autora *Starej baśni*, niustępujące nieraz daleko od nich głośniejszym a znacznie mniej trwałym dziełom pisarzy późniejszych. Przytoczyłyby ich można sporo, kilkadziesiąt, zarówno większych jak mniejszych. Dla przykładu tylko wskazać warto na kilka pozycji, należących do żelaznego repertuaru dzieł najwybitniejszych. Należy tu tedy *Jermola*, pełna melancholijnego wdzięku sielanka z życia chłopskiego, i tematem i nastrojem i artystem pokrewna sławnemu, od niej nieco późniejszemu romansowi G. Eliot *Silas Marner*. Należy tu dalej kilka utworów z lat pisarza ostatnich, jak arcydzieło rozmówione w szarej codzienności realizmu. *Z pamiętnika starego dziada*, oraz świetny obrazek historyczny *Ostatnie chwile księcia Woiewody*. Pozatem niesłychanie tynowe są dla Kraszewskiego powieści rycersko-awanturyczne, takie jak *Kunias*, ostatni dokument romantycznych zainteresowań dla średniowiecznej Litwy, osiagający w dziedzinie romansu te klasę, co „powieści poetkiewkie“ w dziedzinie poezji, lub pełna wdzięku *Historja o Janoszu Korczaku i o niekneć miecznikównie*, w której romans zrealizował to, o co zabiegała nie zawsze skutecznie powieść poetkiewka na tle Ukrainy. Utwory te i tym podobne, znamienne dokumenty związku pisarza z epoką romantyczną, stanowią cenny wkład kultury romantyzmu w dziedzinie powieści, a więc dziedzinie, w której wieloletni dorobek Kraszewskiego ilościowo, a nieraz i jakościowo, wysunął się na pierwsze miejsce.

JULIAN KRZYŻANOWSKI

### Tani Bazar KSIĄŻKI

przy księgarni M. Arcta otrzymał nowy transport różnych okazji. Przeszło

5 0 0

książek, z których większość nigdy nie była sprzedawana po

CENACH ZNIŻONYCH

Żądac bezpłatnych katalogów 16-stronicowych.

Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego w Katowicach ogłosiło dnia 15-go kwietnia 1936 r.

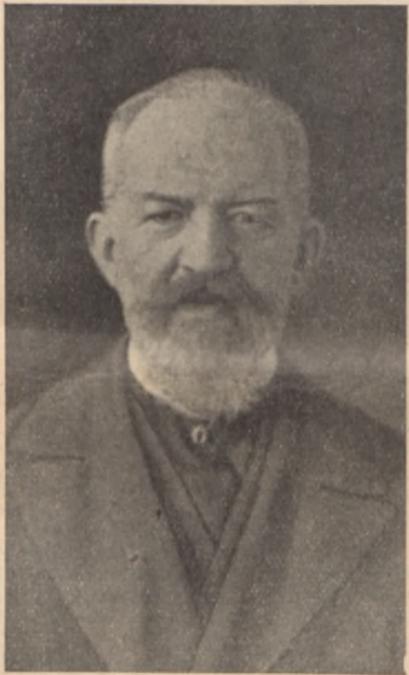
#### KONKURS NA SZTUKĘ DRAMATYCZNĄ

i wyznaczyło nagrodę w wysokości zł. 4.000 z możliwością ewentualnego podziału tej sumy na dwie nagrody po zł. 2.000.—

Autorzy, pragnący uczestniczyć w powyższym konkursie, zechcą zażądać nadesłania szczegółowych warunków konkursu wprost od Dyrektora Teatru Polskiego w Katowicach P. Marjana Sobańskiego.

\* Urywek z drukującej się *Historji literatury polskiej* (Warszawa, M. Arct).

## KAZIMIERZ TWARDOWSKI



Nagroda miasta Łodzi za działalność naukową przypadła w udziale tego roku Kazimierzowi Twardowskiemu. Rzeczoznawcy dokonali znakomitego wyboru. A zbiega się on z nadchodzącym wkrótce dniem siedemdziesiątych urodzin laureata. Nestor filozofów polskich<sup>1</sup> przyszedł na świat 2 października 1866 roku w Wiedniu, jako syn Piusa, dostojnika administracji skarbowej, i Malwiny z Kulnów. Uczył się w słynnym Theresianum. Wyższe studia odbywał przedewszystkiem w uniwersytecie wiedeńskim, głównie pod kierownictwem Franciszka Brentana. Po krótkim okresie docentury także, przeniósł się w r. 1895 na katedrę do Lwowa, gdzie stałe odtąd wykładał i gdzie działa nadal po przejściu na emeryturę. Otóż Brentano, ex-teolog, wyzwolony z tej więzi własnym krytycznym namysłem, zaprawiony na Arystotelesie i scholastyce, celował w myśleniu przy pomocy terminów jasnych i wyraźnych, a roztrząsania jego dotyczyły głównie podstawowych pojęć psychologii; tu zaś skupiał się wokół pojęcia uprzytamniania sobie, zwłaszcza zaś pojęcia stosunku podmiotu doznającego do uprzytamnianych treści. Wybitnych uczniów miał cały zastęp, że wymienimy tylko nazwiska Stumpfa, Martyego, Meinonga, Husserla, Krausa... Pośród nich blyszczą Twardowski, najwerniejszy dziedzic cnót metodycznych Brentana.

Ośrodek produkcji naukowej prof. Twardowskiego stanowią prace następujące: *Idee und Perception. Eine erkenntnistheoretische Studie aus Descartes*, 1892; *Zur Lehre vom Inhalt und Gegenstand der Vorstellungen*, 1894; *Wyobrażenia i pojęcia*, 1898; *Ueber begriffliche Vorstellungen*, 1903; *O istocie pojęć*, 1924. Zawierają one teorie przedstawień (bo tem słowem obejmuje Autor zarówno wyobrażenia — czyli przedstawienia naoczne, jak pojęcia — czyli przedstawienia niemożliwe). Czytelnik uczy się z nich odróżniać z jednej strony treści przedstawienia od jego przedmiotu, z drugiej — treść i przedmiot od samego procesu wyobrażenia sobie lub ujmowania pojęciowego; uczy się dalej wyróżniać sposoby, przy których pomocy osobnik uprzytamnia sobie to, o czym myśli; uczy się wreszcie rozumieć rolę sądów, uwikłanych w skomplikowaną całość pojmowania. Na tem polu Twardowski jest pionierem i głową szkoły badawczej, reprezentującej dziś w psychologicznej teorii pojęć najwyższą chyba kulturę. Niektóre inne, też brentanowskie środowiska, rozwinęły wprawdzie analizę pojmowania bardziej detaliczną i w grubszych znacznie wyłożoną tomach, ustępują one jednak szkole lwowskiej w jasności myśli, połączonej z prostotą, zrozumiałością i zwięzłością wykładu. Krytyka poznania musi docierać do pojęć, badając bowiem poprawność twierdzeń i uzasadnień, natyka się na zagadnienie sensu słów. I coraz jaśniej się staje, że rola zawodowa filozofów obejmuje jako część istotną doprowadzanie sensu słów, a więc i treści pojęć, do określonej i wyraźnej postaci. Wraz z rosnącą świadomością tego zadania wzrastać też będzie, jak przypuszczamy, uświadomienie doniosłości zarówno problematyki Twardowskiego, jak też jego metody.

<sup>1</sup> Szczegółowe dane biograficzne i bibliograficzne, dotyczące działalności prof. Twardowskiego za czas do r. 1920, oraz świetną charakterystykę postaci czytelnik znajdzie w artykule prof. Władysława Witwickiego, otwierającym rocznik 23. *Przeglądu Filozoficznego*, wydany staraniem uczniów, jako *Księga Pamiątkowa* ku uczczeniu dwudziestopięcioletniej działalności nauczycielskiej mistrza na katedrze filozofii w Uniwersytecie Lwowskim.

Obok wspomnianych prac wypada postawić przedewszystkiem rozprawę: *O tak zwanych prawdach względnych*, 1900, gromiącą mocnymi ciosami mętny relatywizm popularnej dyletanckiej epistemologii. Doktryna to zgoła różna od późniejszego relatywizmu fizycznego, głosi zaś, że to samo twierdzenie, pomyślane przez Jana, może być prawdziwe, choć jest fałszywe, gdy Piotr je sobie pomyśli. Widać odrazu, jak szeroko otwiera ona drzwi różnym postaciom nieodpowiedzialnego subiektywnego fantazjowania. Otóż Twardowski obala ją w sposób skuteczny, posilując się w pierwszym rzędzie analizą krytyczną złudnych wypowiedzi. — Do celów bezpośrednio pozytywnych stosuje on swoją metodę mowy prześwieconej, formułując, systematyzując i od siebie głoścąc w szeregu rozpraw (które zaliczymy do trzeciej grupy) trzeźwe a wytrawne poglądy na przedmiot, metodę i zadania psychologii. Oto główne z tych rozpraw: *Psychologia wobec fizjologii i filozofii*, 1897; *Psychologia nauki pogładowej*, 1899; *O metodzie psychologii...*, 1910; *O czynnościach i wytworach — kilka uwag z pogranicza psychologii, gramatyki i logiki*, 1911; *O psychologii, jej przedmiocie, zadaniach, metodzie...*, 1913. Wogóle można by scharakteryzować tę bliższą specjalność Profesora jako filozofję — czyli analizę krytyczną pojęć: metod — psychologii, zwłaszcza psychologii myślenia, przedewszystkiem zaś psychologii uprzytamniania sobie przedmiotów myśli. Uprawianiu filozofii psychologii towarzyszy w pracy Twardowskiego uprawianie psychologii filozoficznej. Tak ją nazywając, nie chcemy bynajmniej podsuwać idei jakowś speculacji nad substancjalnością duszy, jej prostotą czy też nieśmiertelnością... Bardzo to wszystko dalekie od dominujących zagadnień psychologicznych Twardowskiego, zagadnień naukowych, empirycznych... Pragniemy natomiast podkreślić, że nie wyrastają one ani ze źródeł psychjatrycznych, ani z ogólnobiologicznych, ani tem bardziej szczegółowo fizjologicznych... Psychikę bada Twardowski (jak Brentano) niemal w niezależnieniu od aparatu pojęciowego przyrodników, a drogę do niej wskazuje mu introspekcja, ściślej zaś uważne, pełne namysłu zastanawianie się nad stanami, aktami, treściami i obiektami, których badacz doświadcza w tak zwanym doświadczeniu wewnętrznym, a zwłaszcza doświadczeniu wewnętrznym myśliciela. — Czwartą rubrykę wypełniają publikacje rozmaitej treści: artykuły na tematy etyczne (np. art. p. t. *Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie?* 1898), charakterystyki myślicieli i prądów (np. Nietzschego, 1895; monisty mistyka du Prela, 1895; filozofii techniki Kappa, 1896; Spencera w zestawieniu z Leibnizem, 1903; Fechnera, 1907), roztrząsania zagadnień terminologicznych, dydaktycznych, organizacyjnych, obywatelskich, częściowo rozsiane po rocznikach *Ruchu Filozoficznego*, którego Twardowski jest założycielem i redaktorem, od r. 1911, popularne wreszcie podręczniki. Wymienimy osobno dwie książki o takim charakterze, mianowicie: *Zasadnicze pojęcia dydaktyki i logiki* 1901, oraz *O filozofii średniowiecznej wykładów sześć*, 1910, broszurę: *O patriotyzmie*, 1919, dalej przemówienie, wygłoszone na obchodzie dwudziestopięciolecia Polskiego Towarzystwa Filozoficznego (którego Twardowski jest założycielem i przewodniczącym, od r. 1904),<sup>2</sup> wreszcie rozważania: *O dostojństwie Uniwersytetu*, wydane w r. 1933 przez Uniwersytet Poznański. Tą rozprawą odpowiedział Profesor na udzielony mu przez wszechświat poznańską, po warszawskiej, doktorat honorowy. — Przeważną zaś część tego, co Twardowski ogłosił drukiem, jest pokłosiem jeno z jego wykładów, wieloletnich, wypełniających pełne kursy bez opuszczania godzin, a obejmujących cały komplet przedmiotów, które akademicki podział pracy powierza profesorem filozofii... Była tu logika (zawierająca pierwsze ogi w Polsce echa logistyki), teoria poznania, zagadnienia metafizyczne, psychologia (z ćwiczeniami eksperymentalnymi w pierwszym na naszych terenach, za przyczyną T. powstał laboratorium), etyka, historia filozofii. Była nadto pedagogika z dydaktyką... Brakowało chyba tylko estetyki. Pięknemu jednak, poza pięknem myśli, słowa nauczającego i wszelkiego sprawnego czynu, hołduje Twardowski praktycznie, jako wysoce wykształcony i biegły muzyk-pianista. Słuchałem kiedyś z podziwem, jak świetnie grał wspaniałe, trudne, polifoniczne utwory Brucknera.

Trudno przecenić zasługi profesora Twardowskiego dla podniesienia w polskim środowisku autorytetu nauk filozoficznych. Został filozofję u nas w podejrzanej kondycji, jako dziedzicę tak górnych rzekomo wzlotów umysłów wyższe-

<sup>2</sup> Patrz m. in. Twardowski Kazimierz: *Rozprawy i artykuły filozoficzne*. Zebrał i wydał uczniowie. Lwów, 1927. Str. 447.

<sup>3</sup> *Księga Pamiątkowa Polskiego Towarzystwa Filozoficznego w Lwowie*, Lwów, 1931.

go rodzaju (czytaj: dziwaków, bujących w obłokach), że zwykłym człowiekowi rozsądnemu pozostawało tylko zdaleka zdejmować kapelusz przed temi niezrozumiałymi dlań wzniosłościami (z uszanowaniem niyb, naprawdę zaś... z satyrycznym uśmiechem). Osiągnął to, że wśród inteligencji lwowskiej — któż nie zawadził o Lwów! — filozofja na uniwersytecie zyskała opinję czegoś w rodzaju chleba powszedniego. Jakże było nie wypełniać po brzegi wczesnym rankiem wielkiego audytorjum, skoro z katedry płynęła mądrość, wszystkim dostępną i jawnie pożyteczną. Zrozumiano powszechnie, że cokolwiek robi inteligent, jako taki, zawsze myśli, i że musi przecie zastanawiać się serio nad istotą, budową i przebiegiem myślenia i nad warunkami myślenia, prowadzącego do wiedzy i wyrobienia rozsądku. Słuchano filozofa, który celował pośród wykładowców w zaletach, właśnie przeciwnych tradycyjnym wadom filozofowania. To była przedewszystkiem znakomita propedeutika dla wszystkich, którzy potem mieli cokolwiek czegokolwiek nauczać. Nic z propagandy takiego czy innego „izmu“, żadnych wieszczek, żadnych ekstrawagancji natchnionej indywidualności, szukającej własnego słowa za wszelką cenę, ani trochę z pozowania na genialność... Ah, ho też to było chyba Twardowskiemu najbardziej obce: hodowanie geniuszów. Zastawszy w Polsce ugor, porosły wybujałymi chwastami, zakasał rękawy i począł rwać zielsko a sadzić pożywną jarzynę. Ten wielki, mądry i bez miary pracowity nauczyciel zawiał się poprostu, by lekkością Polaków nauczyć pracować tak, jak umieją pracować Niemcy. Na tym terenie, oczywiście, który był dlań dostępny. Chodziło głównie o kwestje charakteru. Do żywego dotyka Twardowskiego częsta opinja o Polakach: *Die Polen sind ja so unzuverlässig! Niesolidni! Trudno na nas polegać!* A to najgorsze, że krytyka trafia w sedno... Więc zabrał się ten Człowiek, Polskę oddany, a w niemieckiej solidności wychowany, do pewnego, że tak powiemy, *Kulturkampf* u nas... I jał tępić słomiany ogień, niepunktualność, zawodność w umowach, niesystematyczność, pogoń za tem, co kogo teraz właśnie najbardziej zajmuje; a zmuszał do przysiadania faldów, respektowania więzi organizacyjnej, do pięciopalców różnego rodzaju, dokładnych referatów, obiektywnych streszczeń... O, jakże są dzisiaj za to wszystko wdzięczni kochanemu Mistrzowi dawni jego uczniowie! Z jaką wiarą przekazują swoim z kolei uczniom te

przez niego wszczęte elementy! A przecie, jak Polska długa i szeroka, wszędzie pracują uczniowie Twardowskiego. Psycholog Witwicki, logik Łukasiewicz, historyk medycyny Szumowski — oto szanowane nazwiska najstarszych; z młodszego nieco pokolenia Kleiner, Zawirski, Kridl, Czeżowski, Błachowski, Ajdukiewicz, Ingarden, że wymienimy tylko tych, co piastują katedry uniwersyteckie. Gdyby zaś zebrać wszystkich, którzy dali się poznać w nauce przez ogłaszanie prac, czytelnik długohy czekał na ukończenie listy...

Linja dotychczasowa żywota profesora Twardowskiego — to obraz rezygnacji z wielkiej kariery naukowej w środowisku niemieckim i poświęcenie swych sił sprawie nauczania nauczycieli w Polsce. Dalszy krok ofiary — to rezygnacja z rozkoszowania się finezjami zagadnień spekulatywnych i oddanie się wzamian prozaicznej robocie u podstaw w społeczeństwie jednocześnie zaniedbanym, wynaturzonym i krnąbrnym. W końcu — wzięcie bezpośrednie na siebie robienia porządków w gromadzie ludzkiej, nie mającej tradycji poprawnego współdziałania... wypisywanie osobiste instrukcyj dla studentów... kiedy do którego okienka trzeba się po co zgłaszać, by aparat uniwersytetu szedł sprawnie, by instytucja celowała eprężnym ładem... Przyjdzie czas, kiedy na tle tych zasług w dziedzinie pracy organicznej uderzy historyków rola bojowa rektora uniwersytetu lwowskiego czasu wielkiej wojny: jak skutecznie pilnował, na przekór niechętniej zwierzchności wiedeńskiej, istnienia jego, funkcjonowania i polskości, jak występował w obronie studentów, zagrożonych wydalaniem poza obręb miasta, z nieugiętą, groźną i romantycznie wprost ryzykowną stanowczością.

Miejmy nadzieję, że laureatowi otrzymane wyróżnienie sprawi przyjemność moralną, jako częstkowy odpowiednik wielkich zasług, które tylko wielkim a wspólnym uznaniem, wdzięcznością powszechną zrównoważyć można. A domyśliły się, jak umiennie Profesora to, że Mu składa dziękczynienie właśnie Łódź! Miasto z samego serca Kongresówki — lwowianinowi, miasto ludzi praktycznych — koryfeuszowi kultury filozoficznej... W tem jest symbolizm rozległych a głębokich związków, Mistrzowi drogich... I dlatego raz jeszcze godzi się powiedzieć sędziom: Świetnie, doskonale, nie można było dokonać znakomitszego wyboru!...

TADEUSZ KOTARBIŃSKI  
Warszawa, 8.V. 1936.

## „LUDZIE DOBREJ WOLI”

Olhrzymi eksperyment powieściowy, jaki podjął Jules Romains, daleki jest jeszcze od ukończenia, mimo że dotąd ukazało się już 10 tomów dzieła. Eksperyment? Trudno inaczej to nazwać. Oto próba, trudno jeszcze dziś orzec, czy uwieńczona zupełnym sukcesem, stworzenia nowej formy, nowej konstrukcji powieściowej. Jest to więc nade wszystko eksperyment formalny. Bo zawartość treściowa, choć niezmiernie urozmaicona, choć paląco ciekawa, zwłaszcza w chwili obecnej, obraca się jednak w sferze zdobyczy i osiągnięć już istniejących. Konstrukcja natomiast jest niewątpliwie wynalazkiem samego Romainsa.

*Ludzie dobrej woli* są dziesięciotomową (dotąd) powieścią, a można się spodziewać, że ukaże się jeszcze conajmniej drugie tyle. Ale nie w rozmiarach jest jej osobliwość, tylko w misternym przepleceniu olbrzymiej ilości zupełnie niezwiązanych ze sobą wątków. Jest to kilkanaście czy kilkadziesiąt różnych powieści, wspanych do jednego tygla, przyczem autor to jedną to drugą wyciąga na powierzchnię niby kawały mięsa z rosołu, daje się nam nią pożywić, a kiedyś się rozsmakowali najlepiej, zabiera nam smaczny kęs kapryśnym i władcym gestem. Czytelnik zachnie się ze zniecierpliwieniem? Trudno. Romainsowi wcale nie chodzi o to, żeby ułatwiać pracę przeżywania jego książki rytmicznością narracji. Raczej zależy mu na tem, aby budzić czytelnika, automatycznie poddającego się hypnozie opowieści.

Ta wielość wątków, jakie z niezwykle szerokim oddechem rozsnuwa przed nami Romains, ma na celu stworzenie w nas poczucia bogactwa życia, jego różnorodności a jednocześnie fragmentaryczności. Stanowisko swoje uzasadnia w obszernym wstępie, którego streszczenie zbyt wieleby tu zajęło miejsca. Zresztą więcej niż o teorię chodzi nam w tej chwili o osiągnięcia. Dziś można już mówić o nich z pewną dokładnością.

Rzecz zaczyna się w początku tego stulecia. Widzimy przedewszystkiem Paryż, pejzaż Paryża, ulice, gromadę ludzką na ulicy o różnych porach doby, wdychamy atmosferę tego miasta. Mistrzostwo i odrębność

w oddaniu życia przedmiotów napozór nieożywionych, jak domy, place, sklepy, bardzo fascynujące i odrębne traktowanie analizy istnienia zbiorowisk ludzkich, przypominają unanimityczne czasy Romaina, świadczą, że ówczesne książki były tylko przygrywką do wielkiego dzieła. Te opisy a raczej analizy Paryża są może jedynym stałym wątkiem przewijającym się przez wszystkie tomy powieści. Aż dziw, ile ten pisarz potrafi powiedzieć o swoim ukochanym mieście; aż zazdrość — ile się o niem da powiedzieć. Nietylko od siebie Romaina mówi o Paryżu, patrzy też na niego oczami swoich bohaterów, a jest ich legion. Tłum, którym zdolał zaludnić swoich dziesięć tomów, wymaga obszernego indeksu osób, który też przezornie dodany jest co każde dwa tomy powieści. Ale mimo tego episu gubimy się wśród tych postaci, które ledwo zdolaliśmy poznać, już musieliśmy porzucić. Taka jest wada i jednocześnie nieublagana konieczność każdej powieści: musi się różnić od życia, do którego tajemnej konstrukcji starał się zbliżyć Romaina za cenę swego olhrzymiego wysiłku. W życiu, na pierwszym planie mamy pewną stałą ilość osób nam najbliższych, które rzadko się zmieniają. Dalej nieco otaczają nas większe i mniej nam znane grupy ludzi: znajomych, towarzyszy pracy. Im dalej, tem tłum jest większy, bardziej mglisty, a jednocześnie obojętniejszy.

W powieści skonstruowanej przez Romaina takie rozplanowanie jednostek i grup nie dało się utrzymać. Autor skierowuje reflektor swojej uwagi na tę czy inną jednostkę, na to czy inne środowisko. Dokonywa tem samem czegoś analogicznego do zbliżenia w kinie. Biorąc dalsze osoby na warsztat, musi odrzucić bliższe, biorąc bliższe, musi zapomnieć i na długo o dalszych, nie istniejąc sposobu na wytworzenie poczucia jednoczesności, które jest integralną częścią naszego życia. Możemy przecież siedzieć przy stole, wśród najbliższej rodziny, czytać gazetę, jednem uchem słuchać opowiadania służącej, wiadomości nadawanych przez radio i rozmowy telefonicznej z sąsiedniego pokoju. Wszystko to się dzieje

naraz i jeżeli nawet uwagę skupiamy na jednym z tych zdarzeń, nie przestajemy czuć pozostałych, nie przestają one dla nas istnieć.

Inaczej w powieści. Romaine chcąc nam pozwolić wejrzeć w sytuację polityczną pełnej epoki musi na długi, nieznośnie długi czas, porzucić tę czy ową grupę, tę czy ową jednostkę, której losy zaczęły nas pasjonować. Rozmowa telefoniczna dwóch osób, która w życiu istniałaby jednocześnie z mnóstwem innych spraw, tu na długo odprowadza naszą uwagę od wszystkiego, czegośmy się dowiedzieli poprzednio. W rezultacie niecierpliwimy się, jesteśmy zmęczeni. Chcielibyśmy niemożliwości, do której jesteśmy przyzwyczajeni: nie tracąc kontaktu z interesującymi nas jednostkami poznawać nowe, wchodzić w coraz to inne zagadnienia, nie przestając myśleć o poprzednich. Ale o tem niema mowy. Romaine czasem przez pół tomu, przez ćwierć, albo przez cały rozpatruje jakąś kwestję albo jakiegoś człowieka, ale potem — niewolnik własnej konstrukcji — musi go porzucić na przestrzeni kilku czy może kilkunastu tomów, powrócić do niego, kiedy nas przestał obchodzić, kiedy się stał nam — i może jemu — obcy. Dzięki tej metodzie *Ludzie dobrej woli* stają się malowidłem niezmiernie obszernym, gigantycznym freskiem, którego jednakże pomimo wysiłków autora i naszych niepodobna objąć wzrokiem. Każdy nowy tom przynosi nowe środowiska, nowych ludzi — gubimy się, tracimy oddech, obawiamy się, że objęcie tej masy przerosnie nasze siły.

Tak więc usiłowanie pochwylenia na gorącym uczynku synchronizmu życia tworzy jedną sztuczność, jeden konwenans więcej. A Romaine w swoim wstępie tak się broił przeciwko konwenansom powieściowym! Cóż na to poradzić? — siła sztuki nie polega na tem, żeby robić konkurencję życiu.

*Ludzie dobrej woli* są nie tylko epopeją przedwojennego społeczeństwa francuskiego, którego możliwie wielką ilość przekrojów możemy poznać dzięki Romainowi. To jest niewątpliwie powieść z tezą, jak o tem świadczy sam tytuł, owo świadome wartościowanie (*dobrej woli*) stworzonych postaci. Ale teza ta nie jest i nie będzie z pewnością wulgarnie natarczywa, ani naiwnie dydaktyczna, ani prostacko symplastyczna. Zamiarem Romaina jest przemyślenie współczesnego świata, zwłaszcza od strony struktury społecznej, od strony świadomego organizowania ludzkości, czyli od polityki. Istotnie jest to powieść wybitnie polityczna. Tomy od 7-go do 10-tego zwłaszcza są wieloplanową analizą kwestyj politycznych, dążących społeczeństwo. Pełno w nich dyskusyj, publicystyki, mężów stanu i działaczy: urzędników, anarchistów, klerykałów, masonów. Czyż można się temu dziwić? Oto ludzie, którzy z mniejszym lub

większym powodzeniem podjęli się misji organizowania świata, prowadzenia go w przyszłość, kierowania cudzemi losami. We wszystkich tych grupach są ludzie dobrej woli, są macherzy i spryciarze.

Romaine podgląda na gorącym uczynku działania, myślenia, horykania się ze sobą tych prowodyrów świata. Wiemy zgóry, jaki był wynik tych różnorodnych działań: wielka wojna światowa. Jak to się stało, zdaje się stawiać pytanie Romaine, że do tego doszło? Widmo wojny, widmo nieuchronnej katastrofy unosi się nad powieścią. Od pierwszego tomu widzimy ludzi jasnowidzących, czujących, rozumiejących do czego zmierza świat, usiłujących zapobiec zlemu. Wiemy zgóry, że ich wysiłki były bezowocne, że nie udało się im opanować żywiołu. Żywiołu, czy ludzi złej woli, którzy wiedli zimno świat ku zgubie. A może głupców, ślepców?

Ta walka przedwojennego społeczeństwa francuskiego z szatanem jest widowiskiem bardzo pasjonującym, a jednocześnie wzruszającym. Romaine pokazał, jak może nikt przed nim, czym jest, może i powinna być świadoma wola ludzi, którzy nie tylko własnym życiem żyją, którzy się poczuwają do odpowiedzialności za ludzkość. Widzimy przedstawicieli różnych środowisk, zbratanych jedną myślą, choć nie wiedzącą o sobie nawzajem. Oto co łączy napozór rozpięzchłe wątki powieści: duchowa jedność, wspólność sumienia. Lęk o przyszłość, analiza bolesna teraźniejszości, szukanie zła i szukanie dobra: zła i dobra zbiorowego nadewszystko.

Czemu dziś właśnie to dzieło tak może pasjonować, czemu rozgrywanie minionych wypadków tak się nam wydaje aktualne i palące? Nie mamy przecież złudzeń. Pierwsza katastrofa: rok 1914, choć zakończył pewną epokę, nie zakończył, nie załatwił niczego. Stoimy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w obliczu stokroć gorszych dramatów. Konstrukcja świata doszła do absurdu, którego wykładniki przynoszą nam codzień gazety. Nie tylko bezpieczeństwo jednostek i narodów jest zagrożone, ale wręcz cywilizacja. Powieść Romaina jest dzwonem alarmowym. Jest krzykiem trwogi człowieka epoglądającego w przyszłość, ale usiłuje jednocześnie być zimnym słowem socjologa docierającego do źródeł zła. Jest nadewszystko słowem otuchy, manifestem solidarności ludzkiej. Ludzie dobrej woli są wszędzie, wśród wszystkich warstw społecznych, wśród wszystkich narodów. To są ci, którzy umieją myśleć, którzy umieją walczyć, którzy posiadają rzadki dar wyjścia poza siebie i ogarnięcia sercem i umysłem zbiorowości ludzkiej. Ważne jest, aby się o sobie dowiedzieli, aby się rozpoznali i stowarzyzyli. Oni jedni mogą uratować świat!

IRENA KRZYWICKA

## WARSZAWA W OBRAZACH

Na wystawie w *Zachęcie* pod nazwą „Warszawa w obrazach“ najciekawiej przedstawia się dział retrospektywny. Z kolekcji widoków stolicy malowanych przez Canaletta, a dochodzących do liczby przekraczającej ćwierć setki, ukazano nam „Widok Warszawy od strony Pragi“, stanowiący prawdopodobnie piękny szkic do dzieła wykonanego następnie w większych rozmiarach, uzupełnionego podobizną samego artysty zasiadającego przed stalugami. (Szytych z tego ostatniego dzieła również znajduje się na wystawie obok sztychów przedstawiających „Plac XX Bernardynów“ i „Widok Pałacu Ordynackiego“). Drugi nadworny malarz Warsza-

wy Stanisława Augusta, Vogel, reprezentowany jest bogaciej. Cennym dopełnieniem znanych uprzednio jego prac są świeżo odnalezione w Wilanowie; wśród nich wybitnie jest interesujący, dzięki aktualności zagadnienia — „Projekt przebudowy Placu Saskiego“.

Z licznych prac „polskiego Canaletta“ — Marcina Zaleskiego, odtwarzających piękno stolicy, wystawiono „Plac Krasińskich“, na którym doskonale można zaobserwować szczególnie architektoniczne kościoła wówczas i dziś garnizonowego, „Widok Zamku“, „Wnętrze katedry św. Jana“. Posmak rodzajowości z zacięciem ku karykaturze mają



MARCIN ZALESKI

Zamek Królewski w Warszawie

obrazy Kostrzewskiego — „Saska Kępa“ oraz pełen wdzięku „Ogród Saski“ najlepiej namalowany, przypominający o dawnej świetności tego „salonu letniego Warszawy“, zapełnionego postaciami panów w cylindrach, pań w jasnych, powiewnych sukniach z polowy ubiegłego stulecia. Fragmenty tegoż ogrodu widzianą na rysunkach Chelmońskiego.

Światło korzystne na dawniejszą grafikę rzucają litografie Gersona i drzeworyty Gierymskiego. Obok prac na temat urbanistycznego piękna Warszawy mamy szereg obrazów malujących życie obyczajowe stolicy, jak wnętrza kawiarni „Honoratki“, związanej tyłoma wspomnieniami z okresu rewolucji listopadowej, jak wnętrza dawnej siedziby *Zachęty* w gmachu polbernardyńskim, jak wreszcie portrety artystów dramatu i opery Simlera.

Dział współczesny ma charakter również „retrospektywny“ gdyż wystawiono tu obrazy przeważnie już znane, wyciągnięte jakby z lamusa. Wystąpili z kolekcjami dawnych swych prac malarze Starego Miasta: Kopyciński, Cieślowski, Trzebiński, malarze wnętrz: Iwanowski i Żukowski; przypomniano słusznie piękny obraz Pankiewicza, a w grafice prace Stankiewiczówny i Wyczółkowskiego.

Poza tem pokazano wiele prac sztucznie podciągniętych pod temat, krajobrazów, plenerowych fragmentów ogrodów, które zarówno należeć mogą do Warszawy jak i każdego innego miasta.

Inicjatywa *Zachęty*, która odnośnie do działu malarstwa dawnego zasługuje na uznanie, mimo jego fragmentaryczności, daje wątpliwe rezultaty w dziale współczesnym. Nie postarano się o obrazy z dziedziny nowoczesnych Warszawy, nie wystawiono obrazów zakupionych przez miasto i niedość zaangażowano tę tak interesującą akcję, wśród artystów stojących nieco dalej od *Zachęty*.

Stanisław Pękalski swą wystawą zbiorową zaświadcza o wysiłku twórczym. W portretach daje on dobrą charakterystykę postaci, operując jeszcze stale tonem, a nie kolorem, wprowadza pewne sciszone akcenty barwne harmonijnie zestawione jak np. w portrecie p. Karpińskiej, wyróżniające zajmującym miejsce w tym pokazy. Subtelne zestrojenia tonów jasnych przebijają z krajobrazów. W kompozycjach jest może nieco przerosła literackość.

Rzeźby Płońskiego, przybyłego z Ameryki, wykazują poprawną umiejętność oraz dużą kulturę artystyczną.

J. PUCIATA-PAWŁOWSKA

## PEJZAŻE WOROCHTY

Wszystko jest tak, jak wtedy —  
w mgłę białej  
skurczone chuty nad zamarłą rzeką,  
i ślady nart, prowadzące gdzieś w górę daleko,  
na drodze w dole  
kolorowe sanki, radośnie rozdzwonione,  
a drzewa w lesie tylko lekko śniegiem przyprószone.  
Wszystko jest tak, jak wtedy —  
nawet niebo ma błądy uśmiech nad sinym Perekrestem,  
tylko ja już bez ciebie, bez ciebie tu jestem.

## CZERWONA SUKNIA

Ręce chciały cię objąć  
i bezradne opadły,  
usta chciały zapłonąć  
i poczułam, że zbladły,  
powieki skryły oczom  
wyciekane jasności —  
i tylko czerwona suknia  
krzyczała o miłości.

LUDOMIRA MISSIURO



ZYGMUNT VOGEL

Projekt przebudowy placu Saskiego



FRANCISZEK KOSTRZEWSKI

Ogród Saski



# SZTUKA I ANTENA



## KTO POWINIEN WYCHOWYWAĆ NASZE DZIECI\*

**BERTRAND RUSSELL:** Przedewszystkiem muszę sprawę jasno postawić, aby wykluczyć wszelkie możliwe nieporozumienia. Twierdząc, że rodzice są z natury niezdolni do wychowywania swych dzieci. Nie twierdzą jednak, aby ktokolwiek inny był z natury zdolny do tego zadania. Myślę, że wychowanie dzieci jest istotnie sprawą bardzo trudną, i że nikt nie posiada wrodzonych zdolności w tym kierunku. I myślę, że wychowanie własnych dzieci przedstawia dla rodziców trudności większe niż dla osób postronnych. Wypływa to częściowo ze specjalnego zainteresowania, jakie rodzice zwiąują dla swych dzieci, częściowo zaś z zupełnie odmiennych przyczyn zewnętrznych, które za chwilę poruszę. To też pragnąłbym, aby słuchacze zechcieli odciąć się od wszelkich uprzedzeń, którym mogliby się poddać jako rodzice, i aby cofnęli się myślą w owe lata, kiedy sami podlegali zwierzchności innych.

Gdy mówimy o rodzicach, jako o uzdolnionych do wychowania swych dzieci, mamy zwykle matki na myśli. Twierdzi się, że matki są obdarzone pewnego rodzaju instynktem. Ojcowie nie mają nawet w przybliżeniu tak „dobrej prasy”. Lecz poświęćmy parę chwil ojcom. W historii mało jest przykładów dzieci wychowywanych przez ojców. W tej chwili przypominam sobie tylko dwa takie przykłady: Hannibala i Johna Stuarta Milła. Otóż Hannibal źle skończył, jak sobie wszyscy przypominamy. Co do Johna Stuarta Milła, przynasha chyba każdy, kto czytał jego dzieła, że lęk przed duchem ojca wpłynął zgnębnie na jego intelekt. Gdy John Stuart Mill był na drodze do jakiejś rozsądnej konkluzji, przypominał sobie, że zapatrywania jego ojca były odmiennie i zdobywał się na zupełnie bezwartościowy kompromis między ojcem a prawdą. Mówi sam w swej autobiografii, lub przynajmniej daje do zrozumienia, że wychowywanie dzieci przez ojców jest niepożądane, ponieważ budzi w dziecku lęk przed ojcem. Na tem możemy skończyć rozważania o biednych ojcach i zająć się matkami.

Panuje naogół opinia, że o matce można powiedzieć znacznie więcej dobrego, niż o ojcu. Ale zastanówmy się chwilę nad paru ogólnymi faktami i przeciwstawmy je poszczególnym faktom indywidualnej dziecięcej psychologii. Zwracam państwu uwagę na to, że właściwie, opiekując się dziećmi, dążymy raczej do tego aby dzieci żyły, nie zaś do tego aby umarły. Jeśli się nad tem zastanowimy, zdamy sobie sprawę, że na całym świecie — wyjąwszy ostatnie sto lat — mniej więcej troje dzieci na czworo umiera; na wchodzie jest tak po dziś dzień. Pierwsza lepsza biografia z XVII wieku zaczyna się prawie zawsze od słów: „Taki to a taki był trzynastem dzieckiem swoich rodziców, ale tylko troje z roduństwa wychowało się szczęśliwie”. Otóż obecnie na zachodzie większość dzieci dorasta, a zmiana ta nie została dokonana ani przez matki, ani przez ojców. Dokonali jej lekarze, oraz ludzie zajmujący się higieną; dokonali jej wynalazcy i politycy-filantropi. Olbrzymi spadek śmiertelności u dzieci, jaki nastąpił w ostatnim stuleciu, jest właśnie dziełem ludzi tej kategorii. To nie matki sprawiły, że odporność organizmów dziecięcych się wzmogła, to nie rodzice tego dokonali — tylko ludzie o szerokich naukowych horyzontach, ludzie zajmujący w tej kwestji stanowisko mniej lub więcej bezosobiste. Sądzę, że trzeba tu przedewszystkiem podkreślić co następuje: „oto zrozumienie roli takich nauk jak higiena — ważniejsze jest dla dobra dziecka niż najwyższy choćby stopień tego, co nazywamy instynktem miłości macierzyńskiej”.

A teraz rozważmy od jakiego rodzaju czynników zależy głównie dobrobyt dziecka. Więc dobrobyt dziecka zależy — mó-

wię w tej chwili o dobrobycie fizycznym — od takich rzeczy jak pokarm, odzież i opieka w razie choroby lub nieszczęśliwego wypadku, a także zapewnienie dziecku warunków zupełnego bezpieczeństwa, a w późniejszych latach — wykształcenia. Otóż dobrze prowadzone przedszkole zapewnia to wszystko w stopniu daleko wyższym niż przeważna większość domów rodzicielskich.

Po pierwsze, rodzice zwykle nie mają żadnego pedagogicznego wykształcenia, nie zdają sobie sprawy, jakiego rodzaju pokarm jest dla dzieci odpowiedni. Po dziś dzień można spotkać mnóstwo rodziców, którzy dają malutkim dzieciom mięso, mocną herbatę i tak dalej, a to jest oczywiście bardzo dla dzieci szkodliwe i w dobrze prowadzonym przedszkolu nigdy się nie zdarzyło. Często znów rodzice ubierają dzieci zbyt ciepło i nie mogą im zapewnić dostatecznej ilości świeżego powietrza poprostu ze względu na ciasnotę mieszkań. Jednym słowem, przeciętni niewykształceni rodzice i z powodu braku umiejętności, i z powodu braku odpowiednich warunków, nie są zdolni dostarczyć dziecku tych wszystkich rzeczy, które daje z łatwością przedszkole — światła, powietrza, swobody, ruchu, możliwości hałasowania, odpowiedniego pokarmu i tak dalej; warunki te, w przeciętnym domu prawie niosięgalne, łatwo można dzieciom zapewnić w zakładzie dla nich przeznaczonym.

A teraz przejdźmy do spraw natury psychologicznej. Jeśli weźmiemy pod uwagę duchowe życie dziecka, — spotkamy się z czemś bardzo podobnym. Należy tu rozróżnić dwa rodzaje ognisk domowych. Rozpatrzmy najpierw rodzinę bardzo liczną, gdzie matka jest zapracowana, pogrążona w zajęciach domowych, niezdolna do poświęcenia dzieciom należytej uwagi. Najprawdopodobniej irytuje się na dzieci, przeszkadzające jej w pracy. Złości się na nie, i burczy, i jest opryskliwa, a w tego rodzaju okolicznościach trudno jest o dobry stosunek między matką a dziećmi. Z drugiej strony weźmy rodzinę zamożną i nieliczną. Może znajdziemy tam matkę bardzo sumienną, pragnącą uczynić dla, powiedzmy, dwojga swych dzieci wszystko co tylko się da, matkę obdarzoną przez naturę w stopniu tak wysokim miłością matczyńską, że płynąca z niej troskliwość wystarczyłaby dla dziesięciorga dzieci. Więc też każde z dwojga dzieci otrzymuje pięć razy więcej pieczołowitości niżby potrzebowało; biedne dziecko bogatych rodziców czuje, że się niem wciąż opiekują; każdy drobniak jest rozpatrywany z psychologicznego punktu widzenia, i tak dalej, i tak dalej, aż wreszcie nieszczęsne dziecko ma tak roztrzęsione nerwy, że poprostu nie wie co robić. Chyba zgodzi się pan, że nadmiar pieczołowitości równie jest szkodliwy dla dzieci, jak jej niedostatek — a właśnie ten nadmiar spotykamy często u rodziców dziecka chowanego starannie.

O złych rodzicach oczywiście wcale nie mówię. A więcej jest, niż się zdaje tego rodzaju złych rodziców, z jakimi ma do czynienia Towarzystwo dla zapobiegania okrutnemu obchodzeniu się z dziećmi. Nie wspominałem o takich rodzicach, bo właściwie nie oni stanowią oś zagadnienia. Zasadniczo chodzi mi o to, że nawet do brzy rodzice, podjąwszy się wychowania swych dzieci, nie umieją stworzyć stosunku polegającego na swobodnym, szczerem — obustronnie szczerem — przywiązaniu, którym jest jedynym dobrym stosunkiem między rodzicami a dziećmi. Nie dążę bynajmniej do zniesienia tego stosunku. Pragnę tylko wyzwolić go z pęt, które nielatwo odrzucić, póki rzeczywista opieka nad dziećmi znajduje się w rękach rodziców. Myślę, że miłość, i tylko miłość, jest jedynym dobrem, które rodzice mogą dać swoim dzieciom. I dlatego nawołuję, aby dzieci były w rękach takich opiekunów i nauczycieli, którzyby posiadali fachową wiedzę, niezbędną do należytego wykonywania ich czynności; nawołuję, aby dzieci spędzały cały dzień poza domem, tam, gdzie mogą korzystać w pełni z dobrego pożywienia, ze słońca, powietrza, swobody i t. d. — a wówczas będą czuły dla rodziców to szczerę, nieskrępowane niczem przywiązanie, z którego wynikają najlepsze stosunki między ludźmi.

**G. K. CHESTERTON:** Z mnóstwa niezwykle ciekawych uwag, wypowiedzianych przez pana Russella, wybieram jedną, która odznacza się zdrowym rozsądkiem — jedną jedyną uwagę rozsądną — o ile mogłem stwierdzić, przysłuchując się z szacunkiem memu przedmówcy. W tej sprawie pan Russell stwierdza, że pragniemy wychować dzieci na to aby żyły, nie na to aby umarły. Wnioskuje stąd, że dzieci muszą być wychowane. Nie przypuszczam ani przez chwilę, aby pan Russell podzielał absurdalne przekonania Herberta Spencera i innych pionierów pedagogicznych, którzy uważają, iż dziecko powinno przekonać się na własnej skórze, że do przepaści wpadać nie należy.

Dziecko musi ktoś wychować. Otóż można by się spodziewać, że człowiek, który zabrał się do obalenia uniwersalnej, podstawowej instytucji całej ludzkości, a mianowicie, że ten człowiek mógłby powiedzieć nam parę słów o tem, co ma się stać z dziećmi; tymczasem mój przedmówca zaczął od stwierdzenia, że rodzice niezdolni są z natury do zajmowania się swymi dziećmi i dodał natychmiast, że nie zamierza bynajmniej powiedzieć, kto jest stworzony do tego celu przez naturę. Mam wrażenie, że wobec takiego powstania kwestji, dzieci znajdują się na samym brzegu przepaści. Wiem, że pan Russell wysunął różne projekty, które wkrótce poddam krytyce, ale podkreślam ważną rzecz: oto na samym początku swych wywodów odzegnał się od wszelkiej odpowiedzialności, albowiem żadnej drogi nam nie wskazuje. Nie ma nic do powiedzenia o ludziach, którzyby posiadali wrodzony talent do zajmowania się dziećmi.

A teraz wyznam, że należę do starej, twardej szkoły racjonalistów i mistycyzm takiego ujęcia kwestji co najmniej trochę mnie dziwi. Co to znaczy „stworzony przez naturę”? Kto to jest Natura? Wiele osób — niegrzecznych, złośliwych osób — zarzuca memu przedmówcy skłonność do sceptycyzmu. Tymczasem jasne jest jak słońce, że to mitologia wodzi go na pokuszenie. Owa bogini Natura — jedyne bóstwo uznawane przez pana Russella — postanowiła widocznie, że ze wszystkich ludzi na świecie rodzice najmniej są odpowiedni do wychowywania swych dzieci. Na to mogą tylko odpowiedzieć, że Natura bardzo się ościągala z powzięciem tej decyzji, bo rzuciwszy pobieżnie okiem, można by sądzić, że kotki opiekują się kociętami, sukki ezczeniętami, maciory prosiętami i tak dalej; nawet u ludzkiej rasy istnieje skłonność do zajmowania się swymi dziećmi. Powinien nam pan Russell wykazać, co w tym fakcie tak potwornie zgnębnego, tak skrajnie paradoksalnego, że aż zasadnicza podstawa natury i cały jej system muszą ustąpić wobec odpowiedzialnych, błyskotliwych paradoksów mego przedmówcy. Otóż twierdząc, iż pan Russell żadną miarą tezy swej nie udowodnił. Rozwodził się nad naszymi przeżyciami w dzieciństwie. Gdybyśmy byli wszyscy powołani do opowiadania historii o naszych dzieciennych latach, moja relacja brzmiałaby jak następuje: hylem jako dziecko niezmiernie szczęśliwy i nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek poza moimi rodzicami mógł mi równie szczęście zapewnić. Cała wszechludzka literatura może służyć za niewyczerpane świadectwo, że dzieciństwo jest dla człowieka okresem najszczęśliwszym. Nie chcę państwa zaprzętać cytatami stwierdzającymi ten pewnik; jestem przekonany, że mój przedmówca zna doskonale niezliczone wypadki, w których ludzie zaświadczyli na piśmie, że dzieciństwo jest najszczęśliwszym okresem w życiu człowieka.

Ale powracam do zagadnienia, jakie to osoby mają opiekować się dziećmi. Z wywodów mego przedmówcy, którym przysłuchiwałem się z wielką uwagą, wnioskuje, że dzieci winny spędzać przeważną część swego czasu w zakładzie zwanym przedszkolem. Otóż każdy rozsądny człowiek wie oczywiście, że istnieją ludzie mający prawdziwy talent do opiekowania się dziećmi — specjalny talent, talent jak każdy inny. Niektórzy umieją czarować zwierzęta, inni znów umieją nawet pisać wiersze — tacy ludzie są zawsze dla dzieci bardzo pociągający — ale jak pan myśli, ilu też takich ludzi istnieje? Czy pan zamierza zwa-

lić na miłośników dzieci dzieciarnię całego świata? Każdy człowiek tego typu jest już obłożony przez, powiedzmy, pięćdziesięcioro dzieci, a mój przedmówca proponuje, aby przytłoczyć go mniej więcej pięciuset dziećmi. I to w najlepszym razie. Takie jest spojrzenie realne na rzeczywistość. Proszę mi wybaczyć, ale rozprawianie o doktorach, i nauce, i socjologii, i przedszkolach, i tak dalej — nie jest spojrzeniem realnym na rzeczywistość. Istnieją ludzie obdarzeni wielkim talentem do zajmowania się dziećmi. Niech ich Bóg ma w swojej opiece, jeśli mamy wszystkie dzieci na nich wypuścić! A co się tyczy przedszkoli i różnych innych zakładów tego rodzaju, co one dają w gruncie rzeczy? Proszę pana, pan poprostu chce płacić pensję pewnej liczbie urzędników, po to, aby udawali, że przejmują się dziećmi — że przejmują się dziećmi tak, jak moi i pana rodzice przejmowali się nami z przyrodzoną skłonnością, którą zawdzięczamy tajemniczej łasce Boga i Natury. Pan chce płacić pensję gromadzie zwykłych urzędników, a wiemy chyba wszyscy, czem są urzędnicy. Są to przeciętne ludzkie stworzenia, tylko może bardziej znużone od innych ludzkich stworzeń. Będzie się dawalo pieniądze gromadzie urzędników po to, aby spełniali coś, co z woli przyrody spełniają już niekiedy ludzie, a mianowicie rodzice. Pan jest zupełnie podobny do warjata, który wśród ulewy chodzi z otwartym parasolem po ogrodzie i podlewa kwiaty. Pan chce wykluczyć przyrodzoną siłę, która istnieje, i zamiast tego wyłożyć dobrowolnie pieniądze — co urąga zasadom ekonomji — na zastąpienie owej siły sztucznym mechanizmem. A czem jest ten mechanizm? Przedszkolem.

Któżby w dzisiejszych czasach nie wiedział — nie mówiąc już o wychowawcy tak wybitnym jak mój przedmówca — że głównym kamieniem obrazy współczesnego wychowania są zbyt liczne, hałaśliwe klasy, dozorowane przez nielicznych nauczycieli? Komu trzeba mówić, że na jednego nauczyciela wypada zbyt wiele dzieci? a czyż nie wypadnie ich nieskończenie więcej, jeśli się zabierze dziecko z domu, gdzie normalnie ma dwoje opiekunów, — do szkoły, czy przytulku, czy jakkolwiek pan zechce to nazwać — gdzie znajdzie się dwięście dzieci dozorowanych przez jednego urzędnika? Opętał pana ten ciekawy, dawny majak socjalistyczny; oto zdaje się panu, że istnieje nieograniczona ilość natchnionych urzędników i nieograniczone środki pieniężne, aby im płacić — i że ci urzędnicy potrafią pełnić zastępczo czynności, wykonywane dotychczas przez ludzi z wrodzonego popędu — wykonywane oczywiście niedoskonale, albowiem niedoskonale jest cechą ludzką. Rodzice są niedoskonali; ojcowie są niedoskonali, matki są niedoskonale. Niech pan od nas nie żąda abyśmy uwierzyli, że lekarze są doskonali, że nauczyciele i inspektorzy szkolni są doskonali.

Wspominał pan, że matki niecierpliwą się na swoje dzieci! Ja myślę: kiedy sobie przypominę, jaki hylem dla swojej matki, o garniam się zdziwienie, że się stokroć więcej nie irytowała. Ale czyżby pan chciał mi dać do zrozumienia, że matki niecierpliwą się łatwiej niż biedne, znużone, zaharowane nauczycielki i urzędniczki o poszarpanych nerwach, dogląające cudzych dzieci? Nie poradzi pan sobie z zasadniczym prawem przyrody i pańskie usiłowania, aby sobie z niem poradzić, są poprostu sofistyką. Z jakichkolwiek powodów, i ktokolwiek to sprawił — czy bogini, w którą wierzy pan Russell, czy Bóg, w którego ja wierzę — istnieje bezsprzecznie jakaś siła, energia, umożliwiająca rodzicom przeprowadzenie aż do końca pewnej czynności, którą wykonywują z zapalem, z miłością i — ponieważ uczuciowość jest też cechą ludzką — z wytrzymałością i cierpliwością posuwającą się aż do męczeństwa. Pan Russell zarzuci mi zaraz, że mówiąc o matkach wpadam w sentymentalizm — ale tak nie jest. Przeciwnie, to pan Russell wpada w sentymentalizm, mówiąc o dzieciach. Oto weźmy na przykład małego Tomka, który z wielu względów nie jest bynajmniej obiektem rozkosznym; Tomek wyprowadza z równowagi swych nauczycieli, którzy uważają się za bezstronnych, ale w gruncie rzeczy są niecierpliwsi, i to do tego stopnia, że pragnęliby poprostu wyrzucić Tomka za okno jak coś obrzydliwego. Ale Tomek jest

\* Jest to dyskusja, zaimprovizowana w radio angielskiem i ze stenogramu przedrukowana w czasopiśmie *The Listener*. Według tego tekstu, w przekładzie Anieli Zagórskiej, odtworzyli dyskusję przed mikrofonem warszawskim dnia 4 maja r. b. Kazimierz Junosza-Stęppowski (Chesterton) i Aleksander Zelwerowicz (Russell).

B. Russell twierdzi, że „rodzice są z natury niezdolni do wychowywania swych dzieci”, a G. K. Chesterton zwalcza jego zdanie.

i trzeba osobie z nim radzić. Mając wielkie środki, można oczywiście wypracować jakąś społeczną organizację, płacić pewnej ilości osób, aby porały się z małym Tomkiem przez wiele godzin dziennie w przedszkolu lub gdzieindziej, ale nie można się spodziewać, aby Tomek przedstawiał dla nich jakikolwiek urok. Wszystko za tem przemawia, że te osoby zmczą się Tomkiem znacznie prędzej niż jego matka. Wiemy pozytywnie — nie jest to żaden sentymentalizm ale poprostu fakt — że matka się Tomkiem nie zmęczy, że on może się na nią złościć, ale nigdy ona na niego; to znaczy, że matka niecierpliwi się oczywiście na Tomka, ale tylko od czasu do czasu; i wiemy, że — a to jest fakt najprawdziwszy — matka wciąż kocha małego Tomka, to znaczy wypełnia swoją społeczną funkcję, przejmując się jego losem aż do chwili kiedy go powieszą.

RUSSELL: Pozwolę sobie zauważyć, że wysłuchałem z wielkim zainteresowaniem ostatniego zdania mego przedmówcy: oto pan Chesterton w własnej osobie stwierdza, że popierana przez niego forma wychowania doprowadza w końcu do powieszenia biednego dziecka.

CHESTERTON: Nic podobnego; wiem, że państwo, w które wierzy pan Russell, powiesi nieszczęsnego dzieciaka, lecz to państwo — wspaniałe, uczone, współczesne — nigdy nie wieszka tego, który na to zasłużył.

RUSSELL: Muszę powiedzieć, że w tych wszystkich wywodach pana Chestertona uderzyło mnie co następuje: oto najwyraźniej nie rozumiał celu dobrze prowadzonego przedszkola. Cel dobrze prowadzonego przedszkola polega na tem, aby stworzyć sztucznie warunki, w których dziecko prawie nie będzie potrzebowało dozoru, a w każdym razie znacznie mniej niż potrzebuje go w domu. Dom rodzicielski zawiera kominki, do których nie wolno wpaść, rzeczy, których nie wolno tuc i różne inne rodzaje niebezpieczeństw. Dobrze prowadzone przedszkole nie zawiera nic w tym rodzaju i dziecku wolno robić prawie wszystko co mu się podoba; nikt mu nie następuje na piętę i właśnie fakt, że nie potrzeba go ciągle strofować, stanowi wielką wyższość przedszkola nad domem rodzinnym.

Jedną jeszcze rzecz chciałbym podkreślić. Pan Chesterton mówił o bardzo licznych klasach, dozorowanych przez nieodpowiednich nauczycieli. Otóż czemu to zawadzamy? Temu, że musieliśmy oszczędzać na wychowaniu. A dlaczego? Ponieważ każdy cywilizowany naród uważa dziś za ważniejsze przygotowywanie się do zabijania dzieci innych narodów, niż utrzymanie przy życiu własnych dzieci.

CHESTERTON: Jestem zbyt stary i chytry polemista, aby dać się złapać na haczyk wojny i zbrojeń. Tedy zapytałem tylko, czyżby pan Russell lub też ktobądź inny mógł się spodziewać, że będą kiedykolwiek klasy, w których na dwóch nauczycieli wypadnie — powiedzmy — jeden uczeń, albo dwóch, albo trzech, czterech czy pięciu uczniów? Bo takie są właśnie warunki domowe. Warunki domowe polegają na tem, że dzieci są pod bezpośrednią, odpowiedzialną opieką dwójga ludzi — skojarzonych z sobą według dzwacznych starych pojęć i połączonych pewnego rodzaju ugodą — a podległa im klasa dzieci jest w każdym razie bardzo mało liczna. Nie zdaje mi się, aby najkrańcowszy pedagog-idealista, nawet taki, któryby chciał wydać wszystkie pieniądze na wychowanie, a na żywność dla ludzkich istot nic nie zostawić — nie zdaje mi się, aby nawet taki idealista żądał klas równie nielicznych.

RUSSELL: Sądzę, że jednym z najważniejszych zarzutów, stawianych wychowaniu domowemu, jest właśnie ta minimalna ilość dzieci. Jak we wszystkich sprawach tego rodzaju, jest to kwestja ściśle ilościowa. W klasie może być za dużo dzieci, albo też za mało. W szkole powszechnej klasy są zbyt liczne, a w domu zbyt mało liczne. W domu poświęca się dzieciom za dużo uwagi, a w szkole za mało. Potrzebujemy warunków pośrednich; musimy osiągnąć złoty środek.

CHESTERTON: Ale pan nie wie, kto ma wprowadzić to w życie. Zrzekł się pan pretenzji do tego, aby pewnej kategorii ludzi oddać prawo do rozstrzygnięcia o liczebności klas. A może pan chce, aby aktem parlamentarnym nadać przedszkolom władzę despotyczną, prawo zapewnienia sobie dowolnej ilości uczniów, prawo porywania dzieci?

RUSSELL: To jest bardzo potrzebne. Nie wątpię, że wśród klas pracujących znaczna większość matek byłaby szczęśliwa, gdyby istniały dobre przedszkola, do którychby można dzieci posyłać.

CHESTERTON: Tak, a te matki byłyby jeszcze szczęśliwsze, gdyby mogły wypuścić dzieci na pole i pozwolić im tam się bawić.

Nie można poruszyć wszystkiego w bardzo krótkiej przemowie, ale niech mi będzie wolno nadmienić, że całe dowodzenie pana Russella jest według mnie oparte na fakcie następującym: biedne rodziny cierpią wielką biedę, możliwości ich są bardzo ograniczone, a wolność istnieje w bardzo ciasnym zakresie; Bóg świadkiem, że to szczerą prawdą. Ale czyżby pan Russell przeoczył, że

niektórzy z nas, nie wyłączając jego samego, biedzili się przez wiele, wiele lat na: przerożnemi zagadnieniami i przyszli do przekonania, że jednak najlepszym rozwiązaniem sprawy byłoby może, aby wszyscy ludzie mieli domy wystarczająco obszerne?

RUSSELL: Niechże mi pan pozwoli powiedzieć, że z jednej strony rozpatrywałem warunki wychowania w rodzinach biednych, a z drugiej strony warunki wychowania w rodzinach bogatych. Uważam, że dzieci w rodzinach zamożnych cierpią od nadmiaru rodzicielskiej opieki, że zbyt wiele pieczołowitości na nie przypada. Poruszę tu jeszcze dalszą ważną kwestję: oto matka, która poświęciła się dla swego dziecka, spodziewa się z jego strony wzajemności, szczególnie jeśli chodzi o chłopców.

CHESTERTON: Pan ma na myśli rodzinną zamożność?

RUSSELL: Tak.

CHESTERTON: Oczywiście, że cała ludzkość podlega grzechowi; w zamożnych warstwach przybiera to postać snobizmu, w biedniejszych różne inne formy, zwykle znacznie bardziej usprawiedliwione. Ale chciałbym jedno ustalić. Oto mamy dwa fakty. Jeden z nich, to cecha jak się zdaje zasadnicza w całej naturze, cecha właściwa i mężczyznom i kobietom, polegająca na tem, że rodzice pragną opiekować się swymi dziećmi. A oto drugi fakt: plugawy brud, jeszcze plugawszy snobizm i ohydna niesprawiedliwość, które charakteryzują współczesne stosunki między bogatymi a biednymi. Którą z tych dwóch rzeczy postanawiamy uleczyć?

RUSSELL: Te rzeczy nie wykluczają się wzajemnie. Zdaje mi się, że pan fałszywie postawił kwestję. Te dwie rzeczy bynajmniej się nie wykluczają.

CHESTERTON: Ja jednak myślę, że się wykluczają. Rodzice pragną opiekować się swymi dziećmi — twierdzą, że tak jest normalnie; — pan na to mówi, że zbyt małe mieszkanie temu przeszkadza, zarówno jak troski i wiele innych rzeczy wynikających z nędzy. Otóż wszystkie pana argumenty odpadną, jeśli biedne rodziny znajdują się w lepszych warunkach ekonomicznych.

RUSSELL: Tak, ale drugiej strony zagadnienia pan nie rozwiązał. Nietylko ze względu na snobizm bogaci rodzice oddziałują źle na swoje dzieci; wchodzi tu w grę potężne skupienie uczuć na bardzo nielicznych obiektach. Takie silne uczucia wymagają bezwzględnie pewnego rodzaju wzajemności; tymczasem tego rodzaju wzajemność nie leży w charakterze młodych stworzeń wszelkiego gatunku. Pan Chesterton mówił wiele o zwierzętach. Otóż u zwierząt rodzice przestają się interesować potomstwem z chwilą, kiedy to potomstwo dorasta. Nie widzieliśmy tego niestety u ludzi, a to dlatego, że rodzice ponoszą takie olbrzymie ofiary przy wychowaniu swych dzieci; im większe zaś ponoszą ofiary, tem bardziej są niepożądane poświęcenia, jakich wzamian wymagają. Tymczasem osoba, której propositu płaci się za dogładanie dziecka, nie ma żadnych wymagań lub uczuć tego rodzaju.

CHESTERTON: Otóż to właśnie! Osoba, której się płaci za dogładanie dziecka, nie ma wogóle żadnych uczuć! To jest woda na mój młyn. I dlatego właśnie, że taka osoba nie ma żadnych uczuć, zawiędzie nasze zaufanie w razie jakiego nieszczęśliwego wypadku, czy kłótni, czy niebezpieczeństwa. „Najemnik ucieka, albowiem jest najemnikiem“.

RUSSELL: Najemnik — to nie jest moje określenie.

CHESTERTON: To określenie jest moje.

RUSSELL: Daleko mniej jest prawdopodobne, aby pielęgniarka uciekla od pacjenta, niż ktokolwiek inny.

CHESTERTON: Niż matka?

RUSSELL: Tak, niż matka.

CHESTERTON: To pomyśl dziwaczny i fantastyczny. Jestem gotów objechać całą Anglię, aby sprawdzić słuszność tego twierdzenia. Znalazłbym pewną ilość matek, pijaczek, kryminalistek i tym podobnych, a w wyższych sferach, niestety, pewną ilość matek cynicznych, pełnych sceptycyzmu — jednym słowem przesiąkniętych zasadami pana Russella; owa drobna mniejszość matek byłaby może obojętna na to, co się dzieje z ich dziećmi. Ale śmiem twierdzić, że ogromna, że przeważająca większość matek ujawniłaby zwykle instynkty. Przynajmniej wszystkie znane mi matki przesyłają swoje dzieci niezłomną wiernością. A teraz jeśli chodzi o zachowanie się pielęgniarek, to jest już zupełnie inna kwestja. Przyczyna, dla której pielęgniarki stanęłyby na wysokości zadania polega na tem, że są wychowane w tym wspaniałym systemie militarnym, którym pan Russell tak się zachwycił. Praca pielęgniarek może oswobadzać ludzi od trosk, ale dla pielęgniarek niema swobody; podlegają karze wojskowej jak oddział żołnierzy. Każda pielęgniarka panu powie, tak jak każdy lekarz, że słucha kapitana, pułkownika, sierżanta, zupełnie jak w wojsku. I dlatego jest na wysokości zadania. Niech Bóg broni, abym miał lekceważyć obowiązkowość pielęgniarek, tych wzorowych militarystek.

Niech Bóg broni, abym podawał w wątpliwość zachwyt pana Russella dla tak wspaniałego systemu wojskowej subordynacji. Ale to już inna sprawa. Jeśli w tym systemie jest czujność, i ład, i ciągłość, to wdzięcza się je dziedzictwu po starym systemie militarnym. Oto wszystko.

RUSSELL: Widzę, że pan Chesterton się poddaje. Wyśpiewał taki wzniósły hymn na cześć zawodowców, że niczego dodać nie potrzebuje.

CHESTERTON: Jeśli pan Russell dorzuci do mych słów entuzjastyczną pochwałę dla żołnierskiego zawodu i zgodzi się z tem, że tylko system wojskowy może nasze sprawy przetworzyć, wówczas i ja przyłączam się do jego konkluzji.

G. K. CHESTERTON i B. RUSSELL.

Autoryzowany przekład

ANIELI ZAGÓRSKIEJ

## TEATR WYOBRAŹNI

„WAKACJE W NOHANT“ — słuchowisko Jarosława Iwaszkiewicza. (Premjera 23 kwietnia 1936).

Debiut Jarosława Iwaszkiewicza jako autora słuchowiska radiowego wypadł dobrze. Autor ominął wszystkie szkopuły taniej popularyzacji na temat życia Chopina, a przecie napisał słuchowisko w dobrem znaczeniu popularne. Jego Chopin ani nie umierał ani nie cierpiał za Polskę, wogóle nie przemawiał, tylko grał. Przegrywał sonatę *H-moll*, w swoim pokoju, niby przy pracy kompozytorskiej. Tak więc główna postać pozostała w dystansie legendy. Postaci nie tak nie stylizuje i tak jej nie otacza nimben legendy, jak — milczenie. On sam milczał, a z rozmów innych osób wyrastał do centralnego zjawiska. Muzyka Chopina jest pierwszym tytułem osobliwości Chopina człowieka. Przypominam sobie, jak niegdyś Reinhardt, w *Jedermann*, wprowadzał na widownię Słowo Boże. Bóg przemawiał niewidzialny, na podwyższonym planie, z którego — z ziemi ku górze — wychodził potężny snop światła. Tym „snopem światła“ była na wakacjach w Nohant muzyka Chopina, te dźwięki codzienne, które przecie miały utkwąć w wieczności. Dźwięczący bruljon stopniowo dochodzący do rafałowskiej doskonałości, temat kapitalny, ale — niemożliwy! Chopin nie pozostawił ezkicowników, nie pozostawił śladów, któremi szła jego myśl twórcza. Zresztą nikt na świecie nie mógłby w sposób wiarogodny iść temi śladami, kuchnia muzykologiczna nie może być przedmiotem słuchowiska radiowego.

Ale słuchowisko może wchodzić fikcyjną akcją w *życiorys*. Dlaczegoż akcja ma być koniecznie pomnikiem? Iwaszkiewicz, słusznie, wyszedł z założenia, że wielkość Chopina nie trzeba dopiero zwiastować słowami śpizowem. Tytuł słuchowiska *Wakacje w Nohant* wymownie zapowiada, że będą się w niem działy zdarzenia niemonumentalne. A jednak domownik dworku w Nohant, ten pilny pracownik, z którym od lat zżyła się rodzina pani Sand — jest przecie człowiekiem obcym. Nie dlatego, że pochodzi z dalekiego kraju, ale że jest potrosze obcym na ziemi. Jak Bach jest „na ziemi tylko gościem“. Domownik i człowiek nie z tego świata — to jest moment niezwykły, który słuchowisku Iwaszkiewicza poddał ton. Poza codziennością kryje się intrygująca duchowość. A dla nas — odwrócony stosunek! — codzienność wakacji w Nohant jest mniej znana niż znane nam są kompozycje Chopina...

Dyskrekcję, którą autor słuchowiska okazał wobec postaci Chopina, stosował również do jego biografji. Oczywiście portrety Solange i jej matki, skreślone w krótkim słuchowisku, musiały pozostać szkicami. Akcja, którą możemy umieścić w roku 1844, jednoczy wydarzenia które zachodziły niekoniernie wszystkie w czasie tych wakacji. Nikt nie będzie żądał od słuchowiska o Chopinie drobnotkowej ścisłości biograficznej. Osiąga ono swój szczyt w końcowym dialogu między panią George Sand a córką jej Solange. Matka sprowadza córkę, z uwielbieniem zapatrzoną w Chopina, na ziemię realną. Namawia ją, aby oddała rękę Clésingerowi. Córka słucha rady matki. Dialog matki z córką płynie ładnie i ma miejsca zabarwione dykretną poezją. Poprzedzające dialogi, w których występują panna de Rozières, Antoni Wodziński i postacie epizodyczne, są „codziennosciami“, tłem, przygotowaniem finałowej sceny między matką a córką, którą kończy się ta — nowela.

Bo *Wakacje w Nohant* są raczej nowelą niż szkicem dramatycznym. Słuchowisko również dobrze może obejmować jeden i drugi gatunek literacki, a zewnętrzne cechy słuchowiska nie zmieniają jego prawdziwej istoty literackiej. I niewiele znaczenia ma w słuchowisku aparat dźwięków towarzyszących. Wystarczy, aby w słuchowisku ktoś powiedział że pada deszcz, uwierzmy mu.

Nie potrzeba nam realistycznie podrobionego szmeru deszczu, który — w danym wypadku — nie wniósł nic szczególnie charakteryzującego sytuację. Zato sonacie Chopina można było dać rolę więcej samostatną zamiast funkcji nastrojowego towarzyszenia dialogom. Również głosy mówiących mogły być dobrane bardziej kontrastująco.

Pierwszy raz słyszemy słuchowisko o Chopinie, kulturalnie i artystycznie pojęte, bez lezki, bez kiczu melodramatycznego, bez naiwnego bronzownictwa. Te negatywne zalety już znaczą wielki postęp w dziedzinie naszych słuchowisk. Zrozumiano, że muzyczny literat da tu więcej niż dobroduszy znany popularyzator. Zwłaszcza w temacie psychologicznie subtelnym i muzycznie obowiązującym do subtelności. — Panią George Sand była Panciewicz-Leszczynska, Solange — Zofja Lindorówna, Antoni Wodziński — Antoni Różycki, „Rozierka“ — Janina Macherska, służącym Janem — Jan Hajduga. Sonatę grał Stanisław Szpinalski.

KAROL STROMENGER

## POEZJA

M. CZERKAWSKA: *Ludzie i liście*. Kraków 1935.

Tomik zawiera wiersze liryczne różnych rodzajów, przeważają jednak utwory o charakterze ballad (*Żywioty, Hangarnik, Epitafium, Nie placz, Kasio*) i opisy szarych, pracowitych istnień ludzkich (*Romankowa, Syn, Stara historia*). Jako typ poetki Czerkawska miejscami przypomina Pawlikowską, szczególnie w drobnych utworach, w impresjach. Ale inne wiersze, opisowe, w swym tonie uczuciowym, w ustosunkowaniu do zdarzeń i ludzi, nawiązują jakby do Ujejskiego, Konopnickiej („Przyszło — małe, ośnieżone, zakutane w liche splotywie barchany“... z wiersza *Syn*) — inne znów w nastroskach przypominają Ostrowską. Może wrażenie to wynika z wspólnej wielu kobietom poetkom nuty kobiecej czułości, sentymentalizmu, a może wpływa na to wspólność pewnych motywów lirycznych, materiału obrazów, akcesoriów poetyckich. Wiersze Czerkawskiej wersyfikacyjnie swobodne i niewymuszone, czasem tylko niekonsekwentne w budowie rytmicznej, przypadkowe i nierówne, w obrazowaniu żywe, plastyczne i niebanalne, jędrne w wysłowieniu świadczą o dużej poetyckiej wrażliwości ich autorki, o szczeroci i bezpośredniości jej przeżyć. Jest to poezja kulturalna, o dobrym poziomie, choć formalnie niezawsze klarowna, a czasem niska w wyrazie uczuciowym.

KAZIMIERA ALBERTI: *Godzina kalinowa*. Kraków 1935. Gebethner i Wolff.

Wiersze K. Alberti należą do klasy średniowartościowej poezji, ani zbyt ekstrawaganckiej, ani zbyt banalnej, poprawnej wersyfikacyjnie, brzmiącej żywo i przyjemnie. Najlepszym w tomiku jest chyba cykl *Godzina kalinowa*, potoczystym rytmem przypominający Illakowiczównę. Utwory tego cyklu przez swą prostą i niewyszukaną symbolikę w konsekwentnych obrazach przeprowadzoną przez całe wiersze, dają przykłady wierszy skończonych i starannych. Bardziej literacki, gadatliwy i beztreściwy w efektach onomatopiecznych, w aliteracjach i nowotworach słownianych („w bystrzynie plynnołicej“, „w bystrzycy, co płynie“, „kalinie czerwolinie“ i t. d.) jest cykl *Budujemy mosty* z podtytułem „wiersze słowiańskie“. Tak samo rozwekły i banalny jest utwór *Noże*. W cyklu *Wygłani z Raju* spróbowała autorka w liryczno-epickich utworach dać obraz żywota i doznań jakichś prehistorycznych Adama i Ewy. Utwory te, mające symbolizować ciężary bytu człowieka, może zbyt są przeładowane patetycznymi wykrzyknikami i często banalne w wyrazie (jak *Kolysanka*).

HALINA BRODOWSKA: *Madonna z Portofino*. Poznań 1935. Biblioteka „Promu“.

Jest to debiut wyjątkowo bezbarwny i niewiele mówiący. Wiersze Brodowskiej to ćwiczenia odrabiane według wzorów „awangardowych“. Wyraz poetycki tych wierszy ma w sobie coś nudnego i martwego. Autorka operuje słownictwem poetycznym, nie zdając sobie często sprawy ze znaczenia wyrazów np. „wiatr naręczki sosen tumanami poklebił“ (niedawno spotkałem u kilku młodych poetów słowo „naręcze“, stosowane ni przypiął, ni przyłatał), powierzone wnie nasładuje metaforę *Przybosia* („...nie dźwignie widnokregu torem nizane miasto“) ale obraży jej, przenosi, są jakieś dziwne nieżywe, nie budzą żadnych wyraźnych wyobrażeń, ani zmysłowych ani uczuciowych, są nieplastyczne.

Np.:  
„Wzgardliwa topol w błękit chciała iść  
W niepełnej rozłuce —  
I tęskniąc sama, przydożnie rośnie wdziv“,

## T E A T R

TEATR MAŁY: *Adwokat i róże*, komedia w 3 aktach JERZEGO SZANIAWSKIEGO, reżyserja Aleksandra Zelwerowicza, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Ogromnie zestarał się ten szlachetny adwokat od ostatnich występów i dzisiaj z pośród swoich róż z żółtej i czerwonej bibułki daremnie apeluje do wyższego wrzucenia — na sali jest chłód i nuda. Taki obrót rzeczy można było przewidzieć już w okresie głośniejszych tryumfów komedji. Żadna bowiem z jej postaci nie została obdarzona tą tęgością charakteru i jasnością myśli, któreby jej pozwoliły narzucić swą wolę nawet opornej widowni. Słabowie, blade, o ruciach omdlewających i pretensjonalnych, osoby ze sztuki Szaniawskiego wymagają od widza szczególnej precyzowości. Trzeba obchodzić się z nimi jak z damą bardzo delikatnego zdrowia, pisując wiersze w czasie rekonwalescencji po zawodzie miłosnym. Nie epoków tu dogadzać się po ludzku bez dostrojenia się do podniosłych toników, przysłoniętych okien i wędzących kwiatów. Zaraz od proza należy przybrać postawę współczującego przyjaciela, zwierzenia chwytając w pół słowa i odpowiadając uśmiechami rozrzwienia, zadumą, zasmuceniem, z palcem na ustach: proszę nie kłócić — tajemnica jest tak delikatna; proszę nie otwierać okien — poezja jest tak ułotna! — Jeśli rzeczywistość, bezpieczna i pewna, nie nastęca większych zmartwień, takie buduarowe „nastroje” jeszcze jakoś od brzoły uchodzą. Ale kiedy chwycie się i wali, stawiając nawet wyjątkowo zatwardziały pięknośuchów twarz w twarz z powagą i wielkością czasów przemiany, — między publicznością i takim teatrem odrzuca powstaje dystans, ironiczny jeśli nie wzdardliwy. Coś z takiego dystansu było teraz w przyjęciu *Adwokata i róż*.

Najmocniej odczuli to, Bogu ducha winni, wykonawcy sztuki. Zawsze w dramatach Szaniawskiego mieli zadanie niewdzięczne. Scena, jak wiadomo, bardzo źle służy tym wiotkim postaciom, które niewiele więcej mają w sobie z ludzi, niż cienie — przyćmione światło jest dla nich jeszcze nazbyt jaskrawe i głos znizony do szeptu nazbyt krzykliwy. Kiedy mrużyło się oczy w błogości „nastroju”, można było tego nie dostrzegać. Obecnie, przy krytycznej obserwacji, nieprzystosowanie tych figur do scenicznego życia widać jak na dłoni. Teatr niewiele tu może zaradzić. Zwłaszcza, że owe dyskretne szeptu i poetyczne niedomówienia chce oddać przez deklamatorską podniosłość.

Jest to szczególnie drażniące w ujęciu postaci głównej. Brydziński ma bardzo szlachetny styl gry, ale styl ten nadto już tym razem cofa się do tych dobrych starych czasów, kiedy wymowa sceniczna nie chciała naśladować potocznej, ale upajała się odrębnością swoich przypiewów i pojęków. Za tym przykładem poszły: Marja Gella, która prawie wyśpiewała swą „partję” i Wasylińska, stosująca nader konsekwentnie tonację zdań przyjętą w teatrach amatorskich. Wedle nowszych zasad naturalności dykcji mówili Damięcki, Kondrat, Kreczmar i Grabowska, co postaciom przez nich odtworzanym dało trochę pozorów życia. Nie tyle przecież, aby móc zapomnieć, że to tylko pozory.

Jarocki wystawił fragment zabudowań poklasztornych, celowo rozplanowujący scenę i pięknie zrównoważony w kompozycji.

BOHDAN KORZENIEWSKI

## M U Z Y K A

W piątek, 3 kwietnia, dała Filharmonia Warszawska festiwal da uczczenia rocznicy śmierci Franciszka Liszta. Jest to jedno z nazwisk ludzi XIX wieku, otoczonych nimbem nieomal legendarnym. Sława fenomenalnego wirtuoza-pianisty, świetny i błyskotliwy szlak życia, — oto asocjacje, które nawiązują się dotychczas wobec nazwiska Liszta. Sprawiedliwie światło historii, mającej już dzisiaj dostatecznie odległą perspektywę, musi wydobyć z cienia i postawić obok Liszta-pianisty, Liszta-kompozytora. Zapewne Liszt jako kompozytor w dziejach muzyki XIX wieku nie zdobył sobie tej pozycji co Chopin, Wagner lub choćby Schumann, jednak w jego obfitej i różnorodnej twórczości muzycznej znajdują się dzieła o wybitnej wartości, które mają moc nieśmiertelniania w czasie ich tworcy.

Na program festiwalu wybrano utwory może nienajlepsze, ale dostatecznie charakterystyczne, by zaprezentować skalę wartości kompozytorskiej Liszta i jego „horyzont ideowy”. Koncert fortepianowy *A-dur* swą wewnętrzną treścią muzyczną nie może silnie oddziaływać na dzisiejszego słuchacza. Uległość wpływom Chopina narzuca się wyraźnie i jak to najczęściej bywa czar wzo-

ru manieryzuje się w naśladownictwie. Między Chopinem i Lisztem, w ich naturach, istniał niewątpliwie pewien rys pokrewieństwa, to, co można nazwać „koronkowścią” wirtuozerji. Tylko gdy u Chopina idzie to od twórcy do wirtuoza, od „treści” do „koronkowej „formy”, u Liszta zachodzi proces odwrotny. Koncert *A-dur* jest dziełem przede wszystkim wirtuoza, przyciągającego dla swej roli i wycucia możliwości instrumentu treść muzyczną. To też podobnie jak w niektórych literacko przeciętnych dramatach istnieją „dobre role”, dające sztuce aktora rozblysnąć w całej pełni, i które to dramaty pokrewna wirtuozowi sztuka aktora i reżysera „stawia” na wyżynie, podobnie i koncert *A-dur* Liszta jest tego rodzaju kompozycją. Tę „dobrą rolę” wykonał z maestrią Józef Turczyński, doskonale utrzymując się w tym stylu sztucznego ognia, blasku i opalizującej liryki. Poemat symfoniczny *Tasso* należy do tego gatunku, w którym Liszt dał bodaj najlepsze swoje kompozycje. Liszt czuje masę orkiestrową, panuje nad nią, wachlarz jej możliwości brzmieniowych wyszukuje zręcznie i pomysłowo. W strukturze utworu dominuje „matematyczny” układ motywów, ale daje się zauważyć i impresyjne zamalowanie konturów, tendencja do plam barwnych, wyrażających na swój sposób refleksyjno-nastrojowy patos. Ten romantyczny typ programowości „zarysowuje” się jeszcze wyraźniej w symfonji *Faust*, wykonanej tegoż wieczoru. Dzieło to reprezentuje grupę monumentalnych utworów Liszta. Raczej nazwą swą tkwiąc w granicach tradycyjnej symfonji, w istocie otrzymuje formy odmienne, z trzech samodzielnych części złożone i na wagnerowsko-literacki sposób powiązane motywami *Fausta*, *Małgorzaty*, *Mefista*. Tytuły tych części grają w kompozycji dzieła rolę istotną, skierowują świadomość w sferę poematu Goethego, nadając pochodowi akustycznemu dopełniającą wymowę. Symfonia ta charakteryzuje Liszt z jego ostatniego, dojrzałego okresu, a zatem epokę, w której twórca był czemś więcej niż artystą, gdy dźwięk i słowo stanowiły środek rewelacji metafizycznych tajemnic. Orkiestrę prowadził węgierski dyrygent Wiktor Vaszy. Obok zromantyzowanego pietyzmu, czelującego kształty wykonywanych dzieł, wykazał on talent ujarznienia orkiestry, która posłusznie poddawała się jego kierowniczej woli. Jeżeli nie wszystko wypadło najlepiej, to wina raczej dzieł samych. W takiej np symfonji *Faust* patos monumentalności wyraża się w dość uproszczony sposób nużącą rozwlekłością.

Festiwal ku uczczeniu 50-letniej rocznicy śmierci Liszta stanowił tylko część programu „wizyty” muzyki węgierskiej w Warszawie. Główny punkt przypadł na okres przedświąteczny, gdy w Wielki Czwartek budapeszteński chór im. Palestriny, soliści opery królewskiej: E. Bodo (sopran), M. Basilides (alt), F. Szekelyhedy (tenor) i Z. Mezsy (bas), wraz z orkiestrą Filharmonji Warszawskiej pod batutą W. Vaszy wykonali *Missa solemnis* Beethovena. Chór im. Palestriny istnieje już 20 lat i „specjalizuje się” w wystawianiu monumentalnych dzieł muzyki klasycznej, jak pasje Bacha, oratoria Haydna i Händla, z nowszych *Króla Dawida* — Honeggera. Dzieło Beethovena wykonywał chór im. Palestriny po raz siedemnasty w ciągu swego istnienia, to też jako jądro wielkiego zespołu wykonawców przyczynił się najbardziej do uświetnienia wieczoru. Czystość intonacji, precyzja i ta swoboda dokładnego opanowania, która stanowi fundament polotu i ekspresji lirycznej, cechowały partje choralne. Orkiestra filharmoniczna, chociaż energicznie ekscytowana przez impuls dyrygenta, nie zawsze zlewała się w idealną spójnię z chórem, naskutek czego monumentalna ale i strzelista płynność architektoniki dzieła Beethovena ulegała zachwianiom. Wykonanie tak złożonego dzieła jak *Missa solemnis* wymaga nie tylko przygotowania i doboru poszczególnych elementów (chór, orkiestra, soliści), ale i troskliwego montażu, uwzględniającego równowagę poszczególnych mas brzmienia, jak również „stonowania” ich *timbrów*. Pod tym względem uderzała nieraz dość znaczna „rozbieżność” między głosami solistów i brzmieniem chóru. W ogólnym jednak rezultacie całość wykonania wypadła dobrze, pozwalając wywrzmić bogatej wartości muzycznej arcydzieła Beethovena.

Zbliża się już koniec sezonu koncertowego. Zwyczajem wielu lat ubiegłych, nabierającym cech tradycji godnej najwyższego uznania, wystawiła Filharmonja Warszawska w piątek 24 kwietnia IX symfonję Beethovena. Znow dzieło monumentalne, o pierwszorzędnym znaczeniu historycznym, jako wytyczna nowych dróg kompozytorów z okresu pobeethovenowskiego. Tegoroczne wykonanie IX symfonji stało na wysokim poziomie, mogącym zadowolić nawet smak wybredny. Najtrudniejszy szkopuł, przynajmniej w warszawskich warunkach, chór, został nietylko starannie przygotowany przez p. A. Karnaszewskiego, ale swym walorem jako materiał głosowy i wrażliwość narzędzia, chwytającego w lot wymagania dyry-

genta, miał w sobie siły do utrzymania złożonego na jego barki ciężaru. Soliści w osobach: F. Platowskiej, J. Hupertowej, A. Dolosza i A. Michałowskiego wykonali swą „część” z kulturalną maestrią, orkiestra zaś dała swe najlepsze możliwości, dowodząc, że śmiało stać może z najświetniejszymi zespołami symfonicznymi (snuje się wspomnienie zespołu Filharmoników berlińskich jako skala porównawcza). W tych warunkach dyrygent Abendroth mógł rozwinąć cały zasób swego talentu zarówno jako wytrawny kierownik i odtwórca-wirtuoz. Gdy doznał słuchacza nie drażnią usterki wykonania, powstaje moment najistotniejszy w „używaniu sztuki, bezpośrednio zetknięcie się z dziełem, jego poznanie, pozbawione ułotnych motywów (wpływów tradycji, atmosfery epoki, osobistych upodobań), a co zatem idzie obiektywnej oceny. IX symfonia w warunkach takiego „doświadczenia” obnaża swe braki. Nie jest to dzieło doskonałe. Jego okazy i głębokie piękności są zresztą na skalę genialnej koncepcji. Braki te w najmniejszym stopniu tłumaczy głuchota Beethovena, choroba tragicznie bolesna dla muzyka-wykonawcy, ale w pewnym sensie obojętna dla twórcy. Braki te najściszej ujawniają się w finale, w partjach choralnych. Beethoven był przede wszystkim instrumentalistą, swoiste właściwości foniczne głosu ludzkiego czuje instrumentalnie, natykając się na nieprzewycięzony „opór materiału”. Chóry w IX symfonji przy najidealniejszym zespole śpiewaczym będą brzmiały „źle”, jak „źle” brzmiał polonez Chopina przetłumaczony na zespół symfoniczny. Tego rodzaju „dysproporcje” są częste właśnie w jednostek genialnych, oddarzonych z natury rzeczy wielostronnością dyspozycji twórczych (*exemplum* maniera „rzeźbiarska” w malowidłach Michała Anioła). Innym źródłem braków, rzucających swój cień na całość IX symfonji, jest jej „programowość”. Nie znaczy to, by wogóle muzyka nie posiadała uzasadnionych uprawnień do „programowości”. Możemy i musimy ocenić całą wzniosłość Beethovena-człowieka, który z padolu swego bólu potrafił wznieść się na szczyty najczystszej radości. Ale tych ocen przeżycia etycznego nie można przenieść w sferę estetyczną. W tekście utworu Schillera znalazł Beethoven błyski swych własnych ogni. I znow nie kwestjonując etycznej wzniosłości zamierzeń Schillera, ich realizacja artystyczna w odzie ma wiele patetycznej pułki i naiwnego werbalizmu. Pretensjonalny zaś przekład polski, zastosowany do tekstu muzycznego, razi szczególnie dzisiejszego człowieka, któremu brutalność rzeczywistości każe podejrzliwie prześwietlać fałsz idealistycznego patosu, zastępującego tak często brak szczerego idealu.

W sali Konserwatorium (dyr. Markiewicz) w ciągu kwietnia odbył się szereg wieczorów muzycznych. Przeważały recitale (Eittington, P. Musikoński, M. Horszowski). W tem monotonnem le wyróżnił się Kwartet Duński, który dał wieczór muzyki kameralnej. Jest to oryginalny i niespotykany u nas zespół, składający się z fletu, skrzypiec, wiołoneczki i fortepianu. Artyści duński z wielką kulturą muzyczną i w doskonałej „zrodzie” zespołowej odegrali utwory: Händla, Haydna, Bacha i Guillemaina. Obok tego program zawierał utwory trzech współczesnych kompozytorów duńskich, które nie zdolaly wywołać żywszego oddźwięku u publiczności.

Niezwykłe pięknym wieczorem natomiast był występ angielskiego zespołu wokalnego — *The New English Singers*. Sześcioro śpiewaków, trzy panie: D. Silk, N. Carson i M. Morris i trzech panów: E. Greene, T. Gance i C. Kelly (dyrekcja) stanowił zespół doskonały pod każdym względem. I nie chodzi tu już o subtelne wypracowanie w całości i szczegółach, o znakomite zdyscyplinowanie, o idealne wyrównanie *timbre'u* indywidualnych głosów, bo te walory zespołowości natury raczej technicznej, zewnętrznej wpływały ze zczerej, bezpośredniej radości śpiewania i z wielkiego umiłowania muzyki. Artyści angielscy z przekonywującym czarem wskrzesili ducha starej, szesnastowiecznej Anglii, gdzie umiejętność śpiewania *a vista* należała do niezbędnych zalet kulturalnego człowieka. Program był obfity i nad wyraz ciekawy. Składał się z utworów W. Byrda, J. P. Sweelincka, T. Morleya, T. Batesona, J. Wilbyego i z paru pieśni ludowych. Usłyszeliśmy motety, madrygaly, canzonetty, śpiewy do tańca, w układach wielogłosowych, ale też duety i tria. Artyści angielscy śpiewali siedząc przy stole, co uzmysławiało iluzję starego obyczaju. Bez poddawania tonu, bez ruchów dyrygenta, poprostu siadali, jak zebrałe gromy przyjaźni, otwierali zeszyty nutowe i rozpoczynali śpiew precyzyjny w swym śpiewaniu i rozplataniu się polifonicznym głosów, w przeświecającym cieniowaniu dynamizmem i wyrzeźbieniu fraz, w szczerej, przesyconej entuzjazmem ekspresji, w wiązaniach akordowych, które szczególnie w końcowych kadencjach brzmiały jak najidealniejszy instrument.

ST. FURMANIK

albo:

„To ja miękkie kurminy  
Wydęłam w kielich niechętny.  
Niewłaśne białe brzozi  
Świat wyjęły z głębin”.

Trudno mi w wierszach Brodowskiej dostrzec się talentu poetyckiego. Dobre chęci, kultura i umiejętność układania słów w zdania w poezji nie wystarczają.

STANISŁAWA SZNAPER: *W stronę życia*. Warszawa 1935. Tow. Wyd. „Rój”.

Wiersze Sznaperyówny, młodej debiutantki, ujmują szczerością, bezinteresownością i prostotą wyrazu. Odnazczają się dużym wyczuciem rytmiki śpiewnej i prostej. Z równą prostotą oddane są w nich przeżycia, wrażenia, nastroje i uczucia — w sposób niewymuszony i bezpretensjonalny. Nie jest to poezja wysokiej klasy. Dużo w niej jeszcze naiwności i „pensionarskiego” stosunku do zjawisk i do świata, lecz te cechy trzeba policzyć na karb debiutu i młodości autorki. Z tomiku, branego w całości, widać jednak żywego, czującego, całkowitego człowieka. Wypowiedzi liryczne Sznaperyówny są jakby naturalnym odruchem jej wrażliwej osobowości. Niema w nich nic z pozy na twórcę, na poetę, jako jakiś wyjątkowy okaz ludzkiego gatunku. Poezja Sznaperyówny — to poezja w pewnym sensie popularna, zrozumiała i do odczucia przez człowieka z każdej klasy czy sfery. Grozi Sznaperyównie jedno niebezpieczeństwo, aby się nie stała jako poetka czemś w rodzaju poetyckiej Zarzyckiej. Można jednak ufać, że przez pracę nad sobą i umiejętną uprawę talentu autorka uniknie tych możliwości.

KRYSTYNA KONARSKA: *Oczy w słońcu*. Poezje. Warszawa 1936. Prabucki i Płoch.

Tomik Konarskiej zawiera utwory kulturalne, poprawne pod względem wersyfikacyjnym, niewychodzące jednak poza pewien zbanalizowany już szablon w obrazowaniu, i w gruncie rzeczy oklepane i nie nic mówiące. „Morze szmaragdowe”, „wiatr lirnik polekłej duszy”, „złote struny”, „namiętne szlochania”, „haftowany gwiazdami płaszcz” i t. d. — jakieś or-otowskie nastroje (*Wiersz staroświecki*), hóle, „szaly tęsknot” — tak wygląda sztafaż poetycki Konarskiej.

JÓZEFINA ROGOSZ - WAWELSKA: *Radość samotna*. (Puszczka Augustowska). Warszawa 1935. F. Hoessick.

Są to wierszowane wrażenia z puszczy augustowskiej, niezbyt zręcznie upoetyzowane. Nic więcej o tych wierszach powiedzieć się nie da.

W. SEBYŁA

## P O W I E Ś Ć

GABRYEL KARSKI: *Noc zapomnienia*. Warszawa 1935. Skład Gł. Dom Książki Polskiej.

Jest to zbiór dziesięciu nowel, debiut prozatorski poety, autora tomików *Gra* i *Drzewo przydrożne*. Daje się w tych nowelach odczuwać brak solidnego materiału przeżyć, materiału życiowego, i brak głębszego przemyślenia rzeczywistości, która ma być przedstawiona. Są to zresztą nowele poprawne do tego stopnia, że ta poprawność stylistyczna i fabularna staje się aż mierznością. Są jasne, zwięzłe, autor nie wprowadza zbyt wiele motywów niepotrzebnych dla akcji, ani dla charakterystyki osób, choć i to mu się zdarza. Najpoważniejszym błędem są tu wady kompozycyjne. Wydaje się jakby autor pisał tylko dla point, aby zilustrować jakiś pomysł w istocie niewybredny, lecz pozwalający na efektowną, w jego mniemaniu, pointę. A pointy przedstawiają się nieszczęśliwie, i zgóry, od pierwszych najczęściej stron noweli, można przewidzieć jej zakończenie. Tak np. w pierwszej, zatytułowanej *Noc zapomnienia*, bodajże najbanalniejszej, autor zadzierzguje węzeł akcji w ten sposób, że wiemy z całą pewnością, kogo spotka jej bohater, Kościeszka, inżynier opuszczony przed rokiem przez ukochaną żonę, a wybierający się właśnie na lumpkę z dawno niewidzianym kolegą szkolnym, który ma mu przedstawić jakąś tajemniczą piękność o niezbyt surowych obyczajach. Wogóle, cały mechanizm kompozycyjny nowel leży jak na dłoni, mimo widocznych wysiłków autora, by go ukryć. Dobre chęci autora i jego niezręczność w zmaganiu się z nową, a przecież bardzo trudną formą, sprawiają nieraz wrażenie zupełnej nieporadności. Drażni też styl, składniowo poprawny, lecz banalny i obiegowy. Można by ten styl nazwać inteligentko-dziennikarskim. Najlepsze bodajże nowele w zbiorze — to *Władek-Kulas* i *Walenty*. Skąpa charakterystyka stangreta Walentego wyszła na dobre tej postaci, a i samo rozwiązanie noweli, nie rozstrzygnięte przez autora systemem łopatowym, korzystnie odbija od innych point.

W. SEBYŁA

## PRZEGLĄD PRASY

**ZWIERZEĆA LITERATURA.** Sentyment do zwierząt jest zjawiskiem niewątpliwie dodatnim. Nie jest on zresztą w Polsce tak rzadki, jak to głoszą niektórzy publicyści, chociaż trudno nie przyznać im racji, że stosunek nasz do zwierząt nie jest tak miły jak np. w Anglii i t. p. Gorzej się sprawa przedstawia z „literaturą zwierzęcą” w Polsce. Sentymentalizm cukierkowy opisów naszych powieściopisarzy i nowelistów zastępuje zwykle obserwację i istotne wczucie się w psychikę opisywanego zwierzęcia. Zjawiskiem niepokojącym jest dająca się zaobserwować wzrost opowiadań „zwierzęcych”. Autorzy, nie uświadamiając sobie trudności, stawianych przez ten niebezpieczny rodzaj literacki, najniżej antropomorfizują opisywane zwierzę. Gdyby tylko to, nie byłoby jeszcze najgorzej. Czytałoby się opowieść, uświadamiając sobie doskonale, że zwierzęta są w danym utworze symbolami lub alegoriami. Znany nawet arcydziela tego rodzaju. Nasi autorzy jednak najczęściej mają pretensje „zwierzoznawcze”. Wobec tego, wyczytawszy w gazetach mało znaczące stwierdzenia (np. o krótkowzroczności psów, o ich wężowości i t. p.), konstruują na tej podstawie całe opowiadania, które oprócz tych sztucznie związanych z akcją naukowych stwierdzeń nie wspólnego z psychiką zwierzęcą nie mają. Powstają wtedy utwory pretensjonalne, pozbawione wszelkiej dyskrekcji i intuicji psychologicznej. Nie utwory artystyczne, ale ilustracje znanych naukowych stwierdzeń. Ilustracje te drażnią, gdyż są tak uproszczone, że psychika zwierzęca wygląda w nich karykaturalnie i opowiadanie robi wrażenie groteski, pozbawionej wszelkiej celowości. Niedawno tego typu opowiadania umieścili: *Tygodnik Ill.* w nr. 14 i *Prosto z mostu* w nr. 15-16. Możliwy autorom tych utworów zalecić chociażby (pełne dyskrekcji i wątpliwości) książki Maeterlincka lub interesującą próbę Huxleya w *Muzyce nocą*. Zobaczyliby, jak na Zachodzie autorzy uświadamiają sobie „nietłumaczalność” psychiki zwierzęcej, z jaką ostrożnością i subtelnością starają się uchwycić jej odległości i cechy wspólne z człowiekiem, zawsze zachowując sceptycyzm, czy ich próby wogóle coś tłumaczyć. Udaje im się w ten sposób nieraz uchwycić, a w każdym razie zasugerować egzotykę psychiki zwierzęcej. Egzotyka ta zaś w drobnej tylko mierze da się wytłumaczyć naukowymi stwierdzeniami, które naszym „bestjologicznym” autorom zawracają w głowie.

**PRZEGLĄD LITERACKI.** W słabo i nudnie redagowanym *Kurjerze Literacko-Naukowym*, dodatku do *I. K. C.*, wyróżniają się bardzo inteligentne „przeglądy literackie” dr. T. Świątki. Na tle popularnych artykułów i jeszcze popularniejszych recenzji, na tle całej tej *silva rerum*, w której piecze się „o wszystkim i o innych jeszcze sprawach”, przeglądy te wyglądają zgola nieprawdopodobnie. Wydaje się, że są to najlepsze przeglądy w prasie polskiej. Orientacja dobra w literaturach zachodnio-europejskich i duża sumienność sprawozdawcy zalecają te dobrze informujące, obiektywne sprawozdania. W nr. 15 (*I. K. C.* 103) informacje o nowych dramatach Maeterlincka i Jana Giraudoux. Zwraca uwagę fakt, że Giraudoux napisał swój dramat w formie uwspółcześionego „rewizjonistycznego” dramatu mitologicznego. Forma ta zaczyna się rozpowszechniać (Cocteau) na Zachodzie. Jest to bardzo interesujący symptom, świadczący o wielkim wyrafinowaniu literackim, które nakazuje artyście zrezygnować z wymyślania nowego wątku i szukać

nowych możliwości artystycznych w oryginalnym opracowaniu odwiecznych mitów. Giraudoux bardzo ciekawie posłużył się homerowym wątkiem: odprawy posłów greckich, wyszukując go dla wypowiedzenia swego stosunku do najaktualniejszego i najtragiczniejszego problemu współczesnego: do wojny. W tym samym numerze zainteresują czytelnika notatki p. t. *300 wierszy o literaturze*.

**CZY NIE ZA DOBRE?** W nr. 16 *Wiadomości Literackich* umieszczono „dziecięce” wiersze Czukowskiego i Tuwima. Wiersze są piękne. Z tuwimowskich wierszy różni się szczególnie *Ptasie radio*. We wszystkich utworach znakomicie wyeksponowano „onomatopę”. Nasuwa się jednak uwaga, czy wiersze te właściwie nie są za dobre dla dzieci. Główne ich efekty wymagają dość dużej kultury literackiej. Tylko smakosz literacki zdoła w pełni zrozumieć ich czar. Dziecko, jak stwierdzają pedagogowie, zwraca raczej uwagę na akcję, bądź też na „myśl” utworu. Jeden z pedagogów określał podobne utwory mianem „wierszy dziecięcych dla starszych”. Sprawa zasługiwałaby na uwagę pedagogów. Może byłoby celowe, gdyby przeprowadzono eksperyment na dzieciach. Tyle się eksperymentuje, jakże często dla błahych powodów, że ten celowy eksperyment chyba powinien zasługiwać na uwagę.

**NIETZSCHE PRZECIWIW HITLEROWI.** Narodowi socjaliści chętnie powołują się (tak samo faszysty) na autorytet filozofii Nietzschego. W nr. 101 *Czasu* wykazuje W. Marcinkowski nonsens, tkwiący w nawiązaniu tych ruchów społeczno-politycznych do filozofii najkrańcowszego indywidualisty, wroga solidarności międzyludzkiej i państwa. Przykład stosunku narodowych socjalistów do Nietzschego jest wyjątkowo jasny; stąd też jest on socjologicznie niezwykle interesujący. Nadaje się on specjalnie do studjów nad przeobrażeniami każdego wybitnego człowieka w wyobraźni społecznej na „patrona” jej dążeń i aspiracji. To przykrwanie jednostki wybitnej na miarę wyobraźni społecznej ma także swoich „krawców”. Artykuł Marcinkowskiego zadawała się niestety wyłączenie stwierdzeniem sprzeczności między ideologią nazi a filozofią Nietzschego. Jest to fakt dobrze znany. Zagadnienie zaś ma o wiele szersze i głębsze perspektywy.

**SPRAWA CLAUDELA.** W nr. 4 *Tęczy* umieszczono Claudela *Pieśń podzielonego narodu* i artykuł M. Winowej o nim p. t. *Świadectwo poety*. Dobrze, że nareszcie zaczyna się ukazywać głosy o tym, niewiadomo dlaczego, przemilczanym w Polsce poecie. Mimo pięknych przekładów J. Iwaszkiewicza Claudel jest u nas prawie nieznan. Fakt ten rzuca także ciekawe światło na stosunek naszych sfer katolickich do *prawdziwej kultury katolickiej*. Dzieła Claudela ukazały się nakładem *Zdroju*, powieści Mauriaca w różnych wydawnictwach prywatnych. Zapowiedziana przez „Księgarnię św. Wojciecha” powieść Chestertona od kilku lat nie może się jednak ukazać. Chyba trzeba czekać aż zajmie się nią jakaś prywatna firma. Katolicy polscy nie mają na wydawanie autorów ortodoksyjnych nawet ani ochoty, ani czasu, ani pieniędzy. Wszystko to zabiera wydawanie książek w rodzaju *Przewodnika po literaturze* Lechickiego. Także specyficzne pojęcie kulturalnych obowiązków!

W. BAK

## KRONIKA

## O KOCIE W WORKU

Podobno „pewne sfery” (tak to brzmi w relacji prasy codziennej) ujawniły swój niezwykły zamiar: chcą zakładać prywatne szkoły powszechne i ulżyć w ten sposób ciężarom ponoszonym przez państwo na rzecz oświaty, równocześnie zaś zapobiec rozrastaniu się analfabetyzmu. Żadnych bliższych szczegółów tego projektu nie podano do wiadomości. Natomiast z polemiki, jaka się na ten temat wywiązała między *Głosem Nauczycielskim* a Katolicką Agencją Prasową, wynika, niekoniecznie zresztą jasno, że chodzi o jakiś podarunek Danaów. Nowe szkoły miałyby się stać jakoby siedliskiem „reakcyjnego” wychowania — to jedno oświetlenie sprawy; przeciw prywatnej inicjatywie występują czynniki „radikalno masonskie” — to oświetlenie ze strony przeciwnej. Polemika zaczyna się rozrastać, wymiana komunikatów jest dopiero w fazie początkowej.

Im jest gorzej, tem jest ciemniej: ktoś ofiarowuje kota w worku, ktoś nie chce przyjąć kota w worku. Analfabeci, dzieci i ryby, oczywiście głosu nie mają, w żadnym też wypadku nie wypada pytać dzieci, czy chcą chodzić do szkoły „reakcyjnej”, czy nie chodzić do szkoły wcale. Nie wypada również pytać się tysięcy bezrobotnych nauczycieli, czy mieliby ochotę dostać posady w tych podejrzanych szkołach prywatnych. Jedno tylko wypada zrobić w tej chwili: poprosić inicjatorów, aby dokładniej przedstawili swój projekt. Zgrubsza przynajmniej wylegitymowali się ze środków, niezbędnych do zorganizowania tego rodzaju posiłków wychowawczych, a przez to umożliwili spokojne rozpatrzenie się w całości tej sprawy.

Ostatecznie idzie o pewną inicjatywę społeczną, której powodzenie zależy całkowicie od poparcia rządowego, choćby z tej prostej przyczyny, że wszelkie szkolnictwo w Polsce, a więc i prywatne, podlega kontroli państwowej. Nie mogłoby więc istnieć jakieś nowe szkolnictwo prywatne, samo dla siebie decydujące o prawach publiczności. Bodaj też czy nauczanie dzieci alfabetu da się wyzyskać aż dla urobienia w nich jakiejś osobliwej groźnej świadomości „reakcyjnej”.

Może nie byłoby rzeczą niebezpieczną wysłuchać dokładnie istotę konfliktu, chwilowo zadzierżnionego około czegoś, czego nikt nie umie nazwać, czego nie widzi, i co — ktoś to wie? — jest np. jakimś balonem próbnym albo polemiką fikcją, obliczoną zresztą na poróżnienie bezrobotnych nauczycieli z ich organizacjami, dzieci w szkole z dziećmi poza szkołą, dzieci czujących prawicowo z rodzicami uosobionymi „masonsko”?

## STYL GODNY METOD

„Korpus Ochrony Pogranicza w pracy oświatowo-społecznej” — ten tytuł oznacza wystawę ruchomą, chwilowo goszczącą w Warszawie, na oko raczej skromną, z efektami utajonemi w martwych naporach cyfrach. Obok cyfr, jak zwykle na wystawach, widnieją różne hasła. Na tej wystawie hasła brzmią nieco inaczej niż nas do tego przyzwyczajano w ciągu lat nowej niepodległości. Można np. przeczytać na jakiejś skromnej kolorowej tablicy, przeznaczonej dla wzroku żołnierza z K. O. P.: „Naród powierzył straż swoich granic najdzielniejszym żołnierzom. Najdzielniejsi żołnierze nie zawiodą zaufania narodu”.

Zwięzłość tego powiedzenia i jego celność wstrząsa w tym stopniu conajmniej, w jakim drażni napuszona frazeologia wszelkiego rodzaju lirycznych kazań, wypowiedzianych na plakatach, na filmie krzepiąco-państwotwórczym, w nudnych, zawsze za długich i odrazu nużących odezwach, pisanych

przez znudzonych ludzi. Kilkakrotnie niewygodny film o Gdyni i tyleż razy filmowany jedyny kamieniołom kostek bazaltowych nie umyją się do takiej naturalności, jaką zawiera oświadczenie K. O. P., że jego praca oświatowa i społeczna na kresach jest dopiero częścią tego co należałoby wykonać, kropłą w morzu potrzeb olbrzymich obszarów granicznych.

Autorami reprodukowanych na wystawie tekstów, t. j. owych hasel, apostrof i krótkich deklaracji, są prawdopodobnie oficerowie, podoficerowie-instruktorzy oświatowi, zapewne i starsza młodzież skautowska. Mimo to godne pochwały jest nie tak zwane: „przemówił krótko po żołniersku”, ale samo przejście do użytku właściwego stylu wypowiedzenia myśli. K. O. P. szepotał na wystawie, na skromnie ruchomej wystawie, nie tylko bardzo poważny dorobek swojej działalności oświatowo-społecznej, ale inną jeszcze zaletę: inteligencję żołnierza, urabiającą w szkole wojskowej i wystawianą nieustannie na próbę, a więc hartowaną, w zętknięciu z codziennymi zjawiskami cywilnymi, takimi jak nędza ludności, klęski żywiołowe, elementarne potrzeby obywateli bytujących w zapomnianych kątach państwa.

Inteligencja żołnierza K. O. P. jest niezbędnym warunkiem powodzenia misji jaką ta formacja wojskowa ma do spełnienia na równi z obowiązkami czysto wojskowymi, i jaką narzuciła sobie znowu w sposób mało efektowny, zato wyraźny, a bez frazesów, ustalony. Wystawa i jej wykresy potwierdzają przekonująco, że coraz większe postępy czyni realizacja następującego programu:

„Akcja współpracy z ludnością datuje się niemal od pierwszych chwil istnienia K. O. P., a o racji i konieczności tej pracy żołnierza K. O. P. zdecydowały względy natury obywatelskiej i wojskowej. Względem obywatelski i państwowy nakazuje zwrócić szczególną uwagę na rozwój gospodarczy i kulturalny ziem wschodnich w celu jak najpełniejszego zespolenia ludności, zamieszkującej te tereny, z państwowością polską. Względem wojskowy, to sprawa pozyskania wśród miejscowej ludności zaufania i przyjaźni dla żołnierza K. O. P., aby gdy zajdzie potrzeba, można było znaleźć w niej pomoc. Ta pionierska i bezinteresowna służba obywatelska żołnierza K. O. P. wyszła od dołu, ogarniając w miarę czasu coraz to nowe dziedziny. Obecnie wszystkie szczeble K. O. P. wzdłuż całego pogranicza współpracują z ludnością na odcinku społeczno-wychowawczym, bez względu na jej narodowość i wyznanie”.

STANISŁAW ROGOŹ

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

K. P. — Wiersze *Emigracja* i *Czyliż zobaczą?*... nie będą drukowane.

Lublin. — Wiersze nadesłane anonimowo z Lublina (*Venus*, *Morfina* i inne) nie będą drukowane.

St. K. — Artykuł *Niemiec i Polak zagranicą* wydrukujemy, lecz z pewnym opóźnieniem.

H. R. — Z wiersza *Rocznica na antenie* nie skorzystamy.

H. S. — Z łaskawie nadesłanego nam wyboru wierszy nie skorzystamy.

T-am. — Wiersz *Grajek w pociągu* i czterech innych drukować nie będziemy.

## GŁÓWNA KSIĘGARNIA WOJSKOWA

Warszawa — Krak. Przedmieście 11, tel. 209-19

Poleca następujące wydawnictwa:

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

P O D B E L W E D E R E M

Cena zł. 6.50

KAZIMIERA ILLAKOWICZÓWNA

W I E R S Z E O M A R S Z A Ł K U  
P I Ł S U D S K I M

Cena zł. 5.80

ELGA KERN

M A R J A P I Ł S U D S K A  
M A T K A M A R S Z A Ł K A

Cena w opr. płócienną zł. 13.—

W. LIPINSKI, mjr., dr.  
i E. QUIRINI, mjr. dypl.

ALBUM LEGJONÓW POLSKICH

Cena w opr. płócienną zł. 100.—

E. QUIRINI, mjr. dypl.  
i ST. LIBREWSKI, kpt.I L U S T R O W A N A K R O N I K A  
L E G J O N Ó W P O L S K I C H

Cena w opr. płócienną zł. 45.—

**H. MOSES** Materiały wełniane i jedwabie gotowa konfekcja damska  
z d. Schoenfeld  
P O Z N A Ń  
ulica Nowa 6, parter i I p. Tel. 21-54

**LEON CHONE**  
Hurt. Tow.  
krótkich pończoch i trykot.  
P O Z N A Ń  
Wielka 7, tel. 52-40

Centralna Drogerja  
**J. CZEPCZYŃSKI**  
Poznań, Stary Rynek 8  
Telefony: 33-15, 33-24, 32-28, 31-15, 32-39  
Telefon zbiorowy 45-45  
Oddział:  
DROGERJA UNIVERSUM  
ulica Fr. Ratajczaka 38 — Telefon 27-49

S K Ł A D  
O B U W I A „E L K A” = POZNAŃ =  
ŚW. MARCINA 62.  
Poleca w wielkim wyborze obuwie damskie, męskie i dziecięce oraz nowości sezonowe.  
U W A G A. Św. Marcina 62.

Hurtownia materiałów piśmiennych, artykułów biurowych, papieru naukowego oraz tektury  
**FR. SZYMAŃSKI**  
Poznań, Pocztowa 31, tel. 21-87  
Długoletni dostawca do Urzędów i Formacji Wojskowych

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., 1/2-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 szpalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna. Sp. z o.o., Warszawa, Szpitalna 10.